WIENIEC

PISMO POSWIECONE

LITERATURZE POWIEŚCIOWÉJ.

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie,
Tych wonią serca pieszczę, tych się barwą zdobię.

Rok drugi, Tom XI

MIESIĄC LUTY

WARSZAWA

1841.





Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



MARIA ENAMBUC.

Na zachodnim brzegu wyspy Martyniki, znajdowała się w połowie siedemnastego wieku piękna włość należąca do pana Enambuc, gubernatora króla francuzkiego na wyspach Antyllskich. Pan Enambuc zebrał niezmierny majątek przez wytrwałość w ciężkich i nie-

bezpiecznych kolejach życia swego. Jako najmłodszy syn szlacheckiéj rodziny z Normandji, szczupły po rodzicach otrzymał majątek, i udał się do Indji w stopniu oficera marynarki, gdzie wielkie sobie zjednał znaczenie, przez odwagę, zręczność i moc charakteru. Posiadał równą prawie władzę jak książęta panujący. Jako poddany króla Francji odnowił on w Ameryce owe stosunki lenne, jakie już oddawna w jego ojczyznie nie istniały; był panem wysp Martyniki, Granady i Stej Łucji. Równie jak dawni wazalowie korony posiadał wyższą i niższą władzę sądowniczą, we wszystkich swych posiadłościach, urzędnicy przez niego mianowani nie ulegali żadnemu parlamentowi; od jego wyroku nie było żadnéj apellacji; w każdym przypadku, nawet kiedy chodziło o karę śmierci, do niego należało najpiękniejsze prawo władzy najwyższéj, to jest moc ułaskawienia. Jako gubernator króla Francji utrzymywał wojskę, dowodził wyprawami i mógł każdemu wojne wypowiedziéć, kto tylko nie był poddanym, albo sprzymierzeńcem jego monarchy. Miał

swoję gwardję przyboczną, swoich urzędników, swoję radę, słowem, on panował.

Podczas ostatniego pobytu we Francji, kiedy na niego ta wielka władza przelaną została, ożenił się pan Enambuc z ubogą panną wysokiego urodzenia, która z najpierwszemi rodzinami w kraju spokrewnioną była. Położenie téj młodéj osoby bardzo wielkiéj zmianie uległo; opuściła ona swe skromne mieszkanie w Paryżu, aby udać się na drugi koniec świata, i tam szukać majątku i zaszczytów, za któremi nigdy się nie ubiegała. Kiedy przybyła do Martyniki znalazła dom swój zupełnie urządzony, miała młode dziewczyny do posługi, paziów, szambelanów, zgoła cały dwór; jéj służba liczniejszą była niżeli jakiéj księżniczki z krwi królewskiéj; brakowało jéj tylko tytułu. Z początku nazywano ją panią jenerałową, późniéj tylko panią, i pod tym tytułem znaną była na całéj wyspie, równie jak i gubernatora nazywali tylko panem. Młoda mężatka z naiwną dumą przyjmowała te wszystkie oznaki czci. Zale-

dwie piętnaście lat miała kiedy przybyła na wyspę, a jéj młodość, piękność, jéj miłe przymioty zjednały dla niéj wkrótce przywiązanie wszystkich mieszkańców kolońji. Europejczykowie i bogaci kreolowie mieli ją w wielkiém poważaniu; murzyni i wszyscy ubodzy nazywali ją małą królową. Kiedy jenerał zajęty był sprawami rządu, ona wydawała bale w zamku Saint Pierre, albo téż wypoczywała w swém ustronném mieszkaniu we włości les Mornes, pośród zbytków życia Kreolskiego.

Mieszkanie to było roskosznêm miejscem. Dom murowany z kamienia, z czterema wielkiemi pawilonami, stał w pośrodku drzew kasjanowych, których wierzchołki wznosiły się ponad dachem z łupnego kamienia. Chociaż naokoło murów nie było ani rowów, ani palisad, dom ten jednakże nie był zupełnie bez obrony; dolne okna zaopatrzone były grubemi okiennicami; w razie potrzeby można było spuścić pewien rodzaj brmy żelaznéj przed głównemi drzwiami, a do sieni prowa-

dził wązki, sklepiony korytarz, w którym kilku śmiałych ludzi zatrzymać mogło całe wojsko. Naokoło domu znajdował się nieregularnie urządzony ogród, ze wszystkich stron otoczony żywo-płotem z indyjskich fig. Figi te, w krajach podzwrotnikowych dochodzące wysokości wielkiego krzaku, stanowiły naturalny i cięższy do przebycia mur, niżeli najmocniejszy szaniec. Szerokie, mięsiste liście z długiemi kolcami stawiały, każdemu, ktoby chciał się przedrzeć, straszliwy opór, a nawet sam owoc, równie najeżony ostremi kolcami, zdolnemi przebić najgrubszą odzież, zdawał się najgrawać z nieprzezornéj ręki, któraby sięgnąć po niego ośmieliła się. Ten straszliwy mur w jednym tylko miejscu był przerwany, i tam znajdowała się brama z kraty żelaznéj, na prost głównych drzwi domu.

Niedaleko od domu, nad brzegiem morza, znajdowały się chaty negrów, młyny cukrowe i wszystko to, co składało naówczas tę włość obszerną. Piękne pola rozciągały się nao-

koło i rozmaitością barwy upiększały krajobraz. W nizinach rosły drzewa kokosowe, zasłonięte od wiatru szkodliwego dla ich liści delikatnych: suche miejsce okryte były żytem indyjskiém ze złotéj barwy kłosami, a pola zasiane trzciną cukrową kształciły długie, zielone wstęgi, w pośrodku których kołysały się wysmukłe palmy kokosowe. O podal téj pięknéj posiadłości ziemia zdobiła się jeszcze dziką okazałością i bogactwem pierwotnéj roślinności; w głebokich dolinach, rozdzielonych pagórkami, nie można było ujrzéć sladu pracy ludzkiéj, wszędzie nieprzebyte lasy i samotne stepy, wszędzie silna, posępna natura, oświecona promieniami skwarnego słońca Antyllów. Niekiedy wznosił się biały dym w długich słupach z tych gęstych lasów, albo też nagle płomień zajaśniał w oddaleniu i wyniszczał suchą trawę stepów; po takich znakach przekonywano się o obecności dzikich, którzy mieszkali w środku kraju. Te pokolenia cofały się w góry, w miarę jak europejczykowie rozszerzali się

nad brzegiem, usiłując jednak ciągle bronić swojego kraju. Pierwsi osadnicy wiele utarczek odbyć z niemi musieli; odległe domostwa nie raz zrabowane były i spalone przez te hordy, wiedzione dziką żądźą zemsty; w czasie jednak naszéj powieści bardzo już byli osłabieni i mało się ich obawiano. Zawiązały się nawet pewne stosunki handlowe pomiędzy Karaibami i mieszkańcami osady Saint Pierre. Nie raz lekkie czółna pokazywały się w przystani, a znajdujący się w nich dzicy z zadziwieniem przypatrywali się wysokim okrętom stojącym na kotwicy, budynkom nadbrzeżnym, a szczególniéj domowi gubernatora, który najpiękniejszym był i najznaczniejszym na całéj wyspie. Spoglądali z pewnym rodzajem pomięszania na ten trzypiętrowy dom, jego wielki portyk i dach z kamienia łupnego, który błyszczał się w słońcu, jak łuską pokryty grzbiet jakiéj olbrzymiéj ryby morskiéj; lecz oni przypa-

trywali się tym wszystkim osobliwościom tylko zdaleka, i nie śmieli przybliżyć się do tych miejsc, gdzie pierwéj była ich wioska. Wysiadali na ląd aby załatwić swój handel zamienny, lecz nie opuszczali nigdy brzegów. Za nadejściem nocy powracali do swych lekkich łodzi i żeglowali ku wschodnim brzegom wyspy, gdzie kilka punktów było jeszcze w ich posiadaniu.

W dniu w niebo wstąpienia N. Panny 1657 siedział podeszły już mąż z młodą kobiétą, przed drzwiami domu w les Mornes, pod lekkim namiotem z indyjskiéj, bawełnianéj materji; był to jenerał Enambuc z swoją małżonką. Piękne dziécię od 4 do 5 lat mające bawiło się przy ich nogach lalką, równie wielką, jak ono same, sadzając ją na małego murzyna jak na konia. Opodal stały trzy lub cztery murzynki, które wesoło rozmawiały z sobą. Słońce skłaniało się ku zachodowi, a jego promienie, przedzierając się przez lekką mgłę, rozlewały łagodne

światło na wybrzeżu; ciemno błękitne morze łagodnie zataczało swe fale na piasek; ani jeden żagiel nie ukazywał się na téj nieźmiernéj płaszczyznie; pusto i cicho było jak w owym dniu, kiedy okręt Kolumba pierwszy raz zawitał do tych nieznanych brzegów. Bezwątpienia melancholiczna wspaniałość tego widoku obudziła uczucie smutku w téj młodéj kobiécie; gdyż ona wsparła się o poręcz swego bambusowego krzesła, i rzekła z cicha zamknąwszy oczy, aby zatrzymać łzę drżącą na jéj długich rzęsach: — Ach Boże! chciałabym aby jak najprędzéj dzień ten minął!

— Matko, rzekło nagle dziécię, dzisiaj twoje imieniny, dla czego nie masz bukietu? ja miałem bardzo piękny w dniu Sgo Henryka.

Potém pobiegł chłopiec do swego ojca i rzekł: — Matka nie ma bukietu; powiédz jéj, mój ojcze, że ona powinna miéć bukiet, pójdę po niego do ogrodu.

Rzucił lalkę, zbiegł ze schodów, i wymknął się z rąk murzynek, które biegły za nim aby go nie stracić z oczu. Pani Enambuc powstawszy spoglądała przez chwilę za dzieckiem; potém usiadła znowu obok swego małżonka i wsparła rękę na poręczy krzesła, w którém on spoczywał. Te dwie twarze zbliżone do siebie tworzyły dziwną i smutną sprzeczność. Jenerał miał naówczas około 40 lat; gęste, czarne włosy pokrywały jego dużą głowę; rysy twarzy były szlachetne i regularne, lecz słabość zatarła gorący koloryt jego skóry, opalonéj przez słońce zwrotnikowe; niebieskawa bladość powlekać zaczęła wychudłą twarz, oczy bez życia głęboko zapadły, a jego wysoka postać, pokryta szlafrokiem z indyjskiego atłasu, podobna była do szkieletu w całunie. Jego małżonka miała przeciwnie tę świeżą cerę, tak rzadką w gorącym klimacie Antyllów, a czysty blask kolorytu podwyższał jéj piękność pogodną i miłą. Blado niebieskie oczy i jasne włosy, spadające na twarz w pysznych lokach, na-

dawały jéj rysom cóś anielskiego. Założyła ręce na piersiach, okryła się w obszerne fałdy białéj, muślinowéj sukni, i podobna była zupełnie do serafina, który złożył swoje skrzydła.

—Ach! dzisiejszy dzień smutnie spędziliśmy, rzekła pochyliwszy się z przymileniem do swego małżonka, lecz spodziewam się że na przyszły rok dzień ten weseléj obchodzić będziemy.

Ponieważ on nie odpowiadał, dodała z dziecinną prawie pieszczotą: — wszakże prawda, na przyszły rok będziem mieli wiele gości u siebie? Będziemy tańczyć, i długo mówić będą o balu, który ja wydam tutaj. Ty natenczas pewno nie będziesz już słaby. Jakiegoż doznałabym szczęscia, gdybyś zupełnie do zdrowia powrócił!— Sama nie wiem do jakiego świętego mam zwrócić swe modły, kiedy cię widzę tak cierpiącym; lecz ty wyzdrowiejesz,—wkrótce,—jestem pewna; tak gorąco modliłam się za cie-

bie do Boga! — czy nie czujesz się lepiéj dzisiaj?

— Tak jest, moja kochana Marjo, odpowiedział słabym głosem, czuję się zdrowszym; świéże, morskie powietrze wzmacnia mię.

Ona przysunęła się jeszcze bliżéj, i wzięła go za rękę z uśmiechającą się miną. Nastąpiła chwila milczenia, podczas któréj oboje zajmowali się zupełnie odmiennemi myślami; ona zapomniała o poprzednim smutku, ożywiona nadzieją; on zaś ze smutném przeczuciem i obawą spoglądał na przyszłość, albo raczéj żadnéj dla siebie nie widział przyszłości; czuł że jego koniec się przybliżał. Wysilenia, kłopoty przywiązane do władzy, szkodliwy wpływ klimatu wstrząsnęły jego silną budową; śmierć miała go zatrzymać w środku zawodu, i oderwać go od tego mienia, którego spodziewał się tak długo używać jeszcze.

— Chciałabym ażeby doktór jak najprędzej powrócił, rzekła pani Enambuc, spoglądając na drogę do Saint Pierre, on przyrzekł wrócić przed wieczorem.

—Ja go nie potrzebuję, moje dziécię, rzekł jenerał ze smutnym uśmiechem, niech cię ta zwłoka nie nabawia niespokojności; samotność w jakiéj żyjemy jest najlepszym środkiem na moje cierpienia. Tam na dole, za nadto było tłumnie, za wiele było ludzi, którzy dręczyli mnie swemi samolubnemi obawami. Cierpiący najlepiéj się czuję w towarzystwie tylko tych osób, które kocha.

To mówiąc zwrócił twarz swoję ku świéżemu wiatrowi, który wiał od morza, odetchnął całemi piersiami, i mówił daléj z pewném drżeniem; — Ach, Boże! jakże tu pięknie, podobnie jak podczas wiosennego wieczoru we Francji.—Jednakowoż zimno mię przejmuje.

— Ach, wiosna we Francji! powtórzyła małżonka z głębokiém westchnieniem, już

sześć lat jak mię tu przywiozłeś, jednak ja o niéj nie zapomniałam. Wszakże prawda, skoro się wszystko uspokoi, pojedziemy do Francji i ja będę jeszcze mogła zrywać fijołki w lasku Vincennes?

— Tak jest, moje dziécię, odrzekł słabym głosem jenerał, prowadząc swą wychudłą ręką po pięknych włosach małżonki, która przytuliła się do niego, ty powrócisz kiedyś do Francji, może nawet wkrótce...

— Ach! co mówisz, rzekła przelękniona, mój Boże, co téż za myśli dręczą cię dzisiaj? Ty przecież zdrowszy jesteś, powiedział doktór.

Łzy, które z trudnością tylko wstrzymywała, nie pozwoliły jéj dłużéj mówić, wsparła się łkając na ramieniu chorego i rzekła: — Mój Boże! Skądże takie myśli? ty jesteś przecież w saméj sile wieku i ta okropna słabość przeminie; jeszcze długo — bardzo długo żyć będziesz z twoją Marją.

— Tak jest, tak, moje dziécię, rzekł jenerał przerywanym głosem, ja wiem to dobrze, lecz słabość trwa już sześć miesięcy; tak długie cierpienie wycieńczyło mię; niekiedy opuszcza mię cierpliwość i odwaga, i wtenczás położenie kraju nabawia mię niespokojności. Bóg wié, co się z nim dzieje, od czasu jak się nie zajmuję rządami. Kto wié jak Gorcelas zawiaduje na mojém miejscu.

— To jest człowiek z głową, ty sam go wybrałeś, i dotychczas nie było ani jednéj skargi na niego.

— Zkądże możesz to wiedzieć Marjo? Któż powie mi bez obawy, bez uprzedzenia, bez własnego interesu, szczérą prawdę? Gorcelas nie posiada mego zaufania; mianując go na mego zastępcę powodowałem się raczéj innemi względami; lecz gdybym miał umrzéć, pewno nie na niego włożyłbym obowiązek, aby strzegł praw twoich i mojego

syna, gdyż on nie posiada ani zręczności, ani odwagi, ani nawet bezinteresowności, jakiéj szukać powinienem w tym, który ma utrzymać twoją powagę i Henrykowi całe jego dziedzictwo zapewnić! Wielki Boże! cóżby się z wami stało, gdybym musiał was opuścić, nie zostawiwszy wam ani wsparcia, ani rady, ani obrońcy? Lecz nie płacz moja Marjo, wszystko co mówię, pochodzi tylko z troskliwości, któréj może nie będzie potrzeba; ja czuję się zdrowszym, jak to sama widzisz.

— Wéjdźmy do domu, rzekła usiłując powstrzymać łzy i zapomnieć o obawie, która pierwszy raz aż do serca jéj wniknęła, wilgotne powietrze wieczorne mogłoby ci szkodzić.

— Nie, odpowiedział, ono przeciwnie orzeźwia mię; już dawno nie czułem się tak dobrze, jak w téj chwili. Zasiądę z wami wspólnie do stołu i będę jadł wieczerzę.

— A tak, będziem obchodzić uroczyście dzień dzisiejszy, odpowiedziała wesoło, gdyż od sześciu miesięcy nie siedziałeś z nami razem.

Obtarła oczy chustką muślinową aby zatrzéć slady łez, i uśmiechnęła się ze swą zwykłą wesołością; jednak mimowolnie pozostało w jéj sercu smutne, boleśne przeczucie; słowa jéj małżonka przejęły ją niespodzianie trwogą, gdyż podczas téj długiéj, powolnéj słabości, która go trawiła w jéj oczach, ani razu nie przyszło jéj namyśl, żeby on mógł na nią umrzéć. Nie można powiedziéć aby ona namiętnie kochała pana Enambuc, a nawet z tajemną przykrością i żalem skłoniła się, aby oddać mu swą rękę, i towarzyszyć w tak dalekie strony od swéj rodziny i ojczyzny; lecz on ją tak kochał, tak ją uczynił szczęśliwą, że ona przywiązała się do niego z prawdziwém uczuciem wdzięczności, szacunku i posłuszeństwa. Kiedy pierwszy raz objawił jéj swe posępne

przeczucia, przerwana została jéj spokojność, i straszliwe światło wskazało jéj nagle niebezpieczeństwo.

— No, o czémże myślisz moja duszo? zapytał jenerał niespokojny znowu o nią, kiedy ją ujrzał bladą i zmięszaną, zatopiłaś się w myślach. Zasmuciłem cię zapewne moim złym humorem. Nie myślmy już o tém, i mówmy o uroczystościach jakie mają miejsce dzisiaj, a których my nie podzielamy wcale. Teraz rozpoczną się tańce i oświetlą domy w Saint Pierre. We wszystkich warsztatach rozdzielono podwójne porcje i udzielono powszechne przebaczenie za dawniejsze wykroczenia. Żaden niewolnik nie jest dzisiaj karanym, i wszyscy otrzymali po miarce rumu, aby wypili za zdrowie małéj królowéj.

— Tak jest, rzekła oskubując bukiet złożony z jaśminu i perskich róż, który położył jéj dopiéro co chłopczyk na kolanach, tak jest, Bogu dzięki! wszyscy kontenci są

dzisiaj na wyspie i dla każdego jest dzień uroczysty.

— Wyjąwszy dla ciebie tylko, moja biédna Marjo; ani balu, ani muzyki, ani nawet serenady; powinnabyś przynajmniéj pozwolić aby dzisiaj wieczorem muzyka zagrała.

— Chciałam ci sprawić niespodziankę, odpowiedziała uśmiechając się, muzykanci muszą już być w małéj sali, skoro się ściemni, grać będą pod oknami.

— To dobrze, odpowiedział chory pokasłując sucho, będę ich słuchał z przyjemnością.

W téj chwili usłyszano tętent kilku koni w alei, rozdzielającéj chaty murzyńskie od domu i strażnik stojący przy drzwiach ogrodowych zawołał:

»Kto idzie?"

— A przecież doktór wraca! rzekła pani Euambuc, lecz on nie sam przybywa.

— Zapewne towarzyszy mu pan Loinvilliers, odpowiedział jenerał, od ośmiu dni prawie nie widzieliśmy go.

— Ty go bardzo lubisz i przez wzgląd na ciebie, przyjmę go uprzejmie, rzekła łagodnie młoda mężatka, lecz ja nie wiem wistocie, co ci się w nim podobało; jest to zimny, milczący człowiek, który nie umié się znaleść przyzwoicie. Czyli pamiętasz ostatniego razu, kiedy go poprosiłam do stołu, on nie podał mi nawet ręki i nie odprowadził do sali jadalnéj; pod pozorem odjęcia szpady, pozostał we drzwiach galerji i ja sama poszłam do stołu. Innym razem prosiłam go aby mi towarzyszył w przechadzce po ogrodzie, od czego nie mógł się wymówić; czyli sądzisz że on mi podał rękę? — bynajmniéj; szedł obok mnie i ani słowa nie mówił. Ja sądzę, Boże przebacz mi! że on odmawiał podczas téj przechadzki różaniec.

— Bezwątpienia, bardzo niegrzecznie ze strony młodego kawalera, odpowiedział jene-

rał z pewną ironją, lecz kochana Marjo, ponieważ go tak surowo sądzisz, musiałaś zapewne nie zwrócić uwagi na jego pochodzenie i na życie jakie prowadził. To nie jest jego winą że nie posiada francuzkiéj grzeczności i delikatnego obejścia się, bo gdzież on miał się tego nauczyć? On bardzo wcześnie utracił ojca, hrabiego Tomasza Loinvilliers, wychowany był przez matkę, Hiszpankę, która go przyzwyczaiła do powagi wrodzonéj jéj ziomkom. Kiedy miał 12 lat, wysłała go do wuja Komandora Loinvilliers z Poincy, a ten zrobił z niego poczciwego człowieka, walecznego żołnierza i nieustraszonego żeglarza.

— Masz słuszność, rzekła pani Enambuc przekonana, człowiek który nie był we Francji, nie może posiadać takiego wykształcenia, jakiego w Paryżu tylko nabyć można.

— Pozbyłaś się więc swego uprzedzenia, kochana Marjo?

—Zupełnie, odpowiedziała z ujmującą szczerością, oto jest pan Loinvilliers, zobaczysz sam jak go dobrze przyjmę aby wynagrodzić niesprawiedliwość moję.

Drzwi ogrodowe zostały otworzone, dwóch mężczyzn zsiadło z koni w końcu alei, i zbliżyli się w towarzystwie kilku negrów. Jeden z nich był mały, chudy, z twarzą dosyć obrzydliwą i w podeszłym wieku. Jego suknia z czarnéj materji spadała aż do kolan, obszerny, wykładany kołniérz z muślinu zwieszony był na piersi, a na głowie miał trójgraniasty kapelusz, bez peruki; lecz jego gęste, długie włosy bardzo podobne były do téj niezbędnéj części ubrania członków fakultetu; one były wraz z kołnierzem godłem jego stanu, i nikt się nie mylił pod tym względem; kiedy kto mówił do niego, z pewnością nazwał go panem doktorem. Wspiérał się na lasce z trzciny, któréj siedząc na koniu używał zamiast szpicruty, i nierozłączał się z nią nigdy, równie jak z trójgraniastym kapeluszem. Drugi był mężczyzną około 30 lat

mającym, tak brunatnéj cery, że go można było wziąść za mulata, gdyby jego błyszczące się, czarne włosy, nos orli i wązkie usta nie były zupełnym dowodem że pochodził z krwi europejskiéj. Nie był wysoki, lecz w jego postawie przebijała się pewna surowość i śmiałość. Rysy twarzy wyrażały spokojną powagę, a na ustach ozdobionych zakręconemi w górę wąsami, nigdy uśmiech nie postał.

— Witam panie hrabio, rzekła pani Enambuc z miłym ukłonem, i ciebie także, panie doktorze; z niecierpliwością oczekiwaliśmy na pana, równie zapewne jak i wszyscy inni jego pacjentowie.

— Mój kochany Loinvilliers, rzekł jenerał przyjaźnie ściskając go za rękę; lecz nie mógł daléj mówić; przerwał mu mowę suchy, dolegliwy kaszel.

— Czy to tak wypełniane są moje zalecenia, rzekł doktór, siedzisz pan na otwartém

powietrzu po zachodzie słońca, podczas tak chłodnego wieczoru jak dzisiejszy —trzeba powrócić do pokoju panie jenerale.

— Natychmiast, doktorze, rzekł chory z uległością.

— Loango, zawołała pani Enambuc zwróciwszy się ku drzwiom.

Natychmiast pokazał się wysoki murzyn z trzema lub czterema innemi niewolnikami, którzy mu pomogli do wniesienia krzesła jenerała. Marji podał rękę doktór, a pan Loinvilliers pozostał cokolwiek w tyle.

— Spodziewam się, rzekła pani Enambuc zatrzymując się, aby mógł się przybliżyć, że pan będziesz z nami jadł wieczerzą..

— Będę miał ten zaszczyt, odpowiedział poważnie skłoniwszy się.

W kilka chwil później marszałek oświadczył że już na stole. Pani Enambuc powstała uśmiechając się, podała rękę panu Loinvilliers i rzekła z gestem uprzejmego rozkazu, pójdź pan.

Hrabia stał przez chwilę w niepewności, potém wyciągnął także rękę, i różowe i delikatne palce Marji dotknęły się jego bawoléj rękawicy. To dotknięcie przebiegło po całém jego ciele, zadrżał lekko i twarz jego zbladła. Młoda kobiéta, która uważała to wzruszenie, uśmiechnęła się znowu i ośmieliła go uprzejmém spojrzeniem.

— Jest to dobry uczynek, rzekła, odwidzieć chorego; nieskończenie wdzięczna panu jestem że przyszedłeś tutaj, i nie zostałeś w Saint-Pierre, gdzie bezwątpienia daleko lepiéj bawiłbyś się.

Te wyrazy wniknęły aż do duszy pana Loinvilliers i wzruszyły go jeszcze bardziéj; jednakowoż odpowiedział tylko kilkoma zimnemi i wymuszonemi słowami. Doktór znowu mówić zaczął:

— Tak jest, bezwątpienia, w Saint—Pierre jest dzisiaj bardzo wesoło. Kiedyśmy odeżdżali, rozpoczęto właśnie tańce na placu nad morzem, gdzie wystawiono bramę tryumfalną z transparentem, na którym czytać

można piękne imie Marji. Wszystkie domy są oświetlone i ozdobione chorągwiami; jest to piękny bardzo widok. Milicja odbyła paradę przed zamkiem, przy odgłosie bębnów, z rozwiniętemi sztandarami. Ci waleczni żołnierze, przechodząc około bramy tryumfalnéj, zdejmowali kapelusze i wołali »niech żyje nasza łaskawa pani!”

Te ostatnie wyrazy zdawały się wielką przyjemność sprawiać jenerałowi, gdyż on rzekł spoglądając ze wzruszeniem na swoję małżonkę: — Ci ludzie kochają cię Marjo; sądzę że będziesz mogła liczyć na ich wierność i uległość. Wkrótce będzie potrzeba odbyć podróż naokoło wyspy.

— Tak jest, skoro tylko przyjdziesz cokolwiek do siebie, odbędziemy tę drogę razem, odpowiedziała ze wzruszeniem.

Smutne milczenie nastąpiło po tych wyrazach, gdyż każdy odgadnął myśli jenerała. Marja spuściła oczy, aby ukryć łzy, które zabłysły na jéj powiekach; pan Loinvilliers wpadł w zamyślenie, a doktór wpatrywał

się bacznie w twarz chorego, który z głową wspartą o poręcz krzesła i oczami na pół otwartemi, zdawał się drzémać. Wszystkie okna galerji, służącéj za jadalną salę, były pootwiérane i dwadzieścia swiéc woskowych oświecało tę rozległą przestrzeń, która z dziwną mięszaniną zbytku i prostoty umeblowaną była. Ściany i sufit po prostu tylko wybielone, miały dywany za jedyną ozdobę; podłoga wysadzana różnego koloru kamieniami, podobną była do grubego obrazu mozajkowego, a krajowe meble grubéj roboty nie miały żadnych ozdób; lecz na bufecie z machoniowego drzewa błyszczał się przepyszny, srebrny serwis, przy suficie zaś wisiał wielki, kryształowy zerandol; stół, przy którym pani Enambuc zasiadła ze swojemi gośćmi, przykryty był piękną serwetą holenderską, a na nim rozstawione było mnóstwo szczególnéj piękności naczyń porcelanowych. Dwunastu niewolników bacznych na najmniejsze skinienie podawało potrawy; ich liberja składała się z pantaljonów w kraty, z kafta-

na bez rękawów, dozwalającego widzieć koszulę nankinową, któréj blado żółty kolor podwyższał czarność ich skury. Na szyi mieli na dwa palce szeroką, srebrną obrączkę, z wyrytym herbem pana Enambuc: niebieskie wstążki ze srebrnemi kutasami wisiały przy ramionach, a nogi były zupełnie bez obuwia, — niezbędny i prawdziwy znak ich niewolniczego stanu.

Wieczerzą już zjedli w milczeniu, gdy odgłos straży »kto idzie" oznajmił przybycie nowego gościa.

— Kto to być może o tak późnéj godzinie? rzekła pani Enambuc zadziwiona i prawie niespokojna.

W kilka chwil późniéj oznajmił niewolnik, że przybyły z Francji markiz Henryk Maubray życzy sobie być przedstawionym. Skoro tylko to usłyszała Marja, policzki jéj pokryły się nadzwyczajną bladością i rzekła głosem zaledwie zrozumiałym: — Pan Maubray?—niech wejdzie. Potém z trudnością tylko stłumić w sobie mogła wzruszenie,

i zbliżywszy się do jenerała rzekła do niego łagodnie:—Czy słyszysz? — Oznajmiono kogóś, co przybywa z Francji, — hrabiego Henryka Maubray, bretańskiego szlachcica, którego rodzina na dworze zmarłego króla angielskiego.....

— Ona go więc zna już, pomyślał Joinvilliers, który uważał niespokojność Marji i wysilenie z jakiém starała się ją stłumić.

Jenerał podniósł głowę, jak ten, który po przykrém marzeniu, stara się zebrać swe myśli i rzekł: — Pan Maubray? nie przypo minam sobie tego nazwiska; pamięć moja słabnie. Przyjmij go Marjo; ja się oddalę, nie jest mi dobrze...

—Pozwól abym ci towarzyszyła, rzekła z żywością, kiedy słabszym się czujesz, ja cię nie opuszczę...

Tylko co wyrzekła te wyrazy, pan Maubray wszedł do sali, Rzucił szybkie spojrzenie naokoło i skłoniwszy się Marji stanął, jakby nie poznał jenerała.

— Ja to jestem, ja, rzekł chory z pewnym uśmiechem, przybliż się pan, gdyż ja powstać nie mogę, abym miał zaszczyt przyjąć pana.

Maubray zbladł nagle, kiedy ujrzał tego człowieka, tak bliskiego śmierci; zadrżał, gdy usłyszał ten słaby, przeciągły głos, który zdawało się iż chciał się wydrzéć wraz z ostatniém tchnieniem życia z tego skołatanego ciała; jednakowoż przezwyciężył swe zadziwienie i obawę, przystąpił bliżéj i pozdrowił jenerała z niewymuszoną grzecznością, jaka cechuje ludzi przywykłych do dobrego towarzystwa.

Panie jenerale, rzekł, dopiéro co przybyłem z Francji do Fort Royal na okręcie St. Malo, który wczoraj stanął na kotwicy; wkrótce odpływamy do St. Domingo, jednakowoż nie mogłem sobie odmówić téj przyjemności, abym nie miał wręczyć pani Enambuc osobiście listów od jéj rodziny.

To mówiąc podał Marji paczkę z listami, którą ona odebrała, nie spojrzawszy nawet na niego i podziękowała tylko skinieniem głowy.

— Spodziewam się że okręt St. Malo kilka dni tu zabawi, rzekł jenerał z wysileniem obracając się ku markizowi, przez ten czas, chciéj mi pan wyświadczyć ten zaszczyt i pozostań w moim domu. Marja usłyszawszy to zaproszenie, które jednak łatwo przewidziéć można było, z największą obawą spojrzała na markiza. On uśmiechnął się, jakby dla zaspokojenia jéj, i odpowiedział skłoniwszy się: — Nie mogę korzystać z zaproszenia pana jenerała; gdyż jutro muszę się znajdować napowrót w Fort-Royal, i z żalem widzę się w téj konieczności, iż muszę wyjechać ztąd za godzinę.

— A tak więc, nie będę pana zatrzymywał. Lecz pan musisz być głodnym; zasiądź przynajmniéj z nami i jédz tymczasem

gdy nam będziesz opowiadał o Francji. Markiz ukłonił się znowu dziękując za zaproszenie i odmawiając zarazem. Chociaż w mowie jego i rysach nie było żadnego pomięszania, jednakże bladość policzków i ton mówienia zdradzał pewne, wewnętrzne wzruszenie, które nie uszło uwagi pani Enambuc i pana Loinvilliers.

Marja także była mocno wzruszona; tęskne wspomnienia ukontentowanie zatrute goryczą powstały w jéj sercu, lecz obudzone markiza obecnością uczucia dodały zarazem jéj siły do ich utajenia. Tymczasem Loinvilliers posępny i uważający na wszystko, rozmawiał z doktorem Janson, we framudze przy oknie. Pani Enambuc siedziała naprzeciwko pana Maubray, o kilka kroków od jenerała, który zdawał się znowu usypiać. Wtenczas dopiéro Marja odważyła się spojrzéć na markiza; podczas sześciu lat nieobecności zmienił się mocno; jednakowoż jego twarz ogorzała od słońca, wycieńczona trudami zdawała jéj się dumniejszą, piękniejszą i szlachetniejszą. Henryk Mau-

bray miał naówczas około 30 lat; należał do jednéj z rodzin, które od najdawniejszych czasów wspominane były w historji Bretanji, i poznać można było w nim owe silne, północne plemie, którego krew nie zmięszała się nigdy z południowemi narodami. Jego jasne włosy spadały w lekkich lokach na szerokie czoło. Około ust małych i kształtnych spoczywał wyraz dumnéj oziębłości, w dziwny sposób złagodzony spokojném, prawie nawet panieńskiém spojrzeniem ciemno niebieskich oczu. W jego spokojnéj i dumnéj twarzy, w jego silnéj budowie, było cóś takiego, co przypominało owych ludzi minionych czasów; można go było wziąść za jakiego wodza hordy barbarzyńskiéj, zwycięzcę rzymskich legjonów, lub też za jednego z owych bardów, którzy byli czczeni przez lud bretański za bożków sztuk pięknych i poezji. Lecz biédny szlachcic nie miał żadnych innych korzyści swego świetnego pochodzenia; dziedzictwo swych przodków utracił i jego powierzchowność świadczyła o niezamożnym

jego stanie. Chociaż z mowy i obejścia się poznać można było że należał do pierwszych towarzystw swojego czasu, jednakowoż ubiór nie był wcale takim, jakiby przyzwoitym był dla eleganta z dworu Anny Austryjackiéj; on wyglądał raczéj na żołnierza niżeli na znakomitego pana, w swoim kaftanie z materji siwéj i kapeluszu pilśniowym, na którego podniesioném w górę skrzydle przypięta była czarna kokarda zamiast pióra.

Marja spuściła oczy przed tém smutném, lecz wymownem spojrzeniem, jakie Maubray na nią rzucił, a ponieważ on nic nie mówił, usiłowała sama przerwać tak przykre dla obojga milczenie.

— Pan zapewne pierwszy raz odbywasz podróż morską? zapytała z pewném drżeniem głosu, które zdradzało wysilenie z jakiem ukryć chciała swoję niespokojność.

— Tak jest, odpowiedział, przybywam tutaj w zamiarze obrania stałego zamieszkania, jest to jedyne schronienie ludzi takich, którzy jak ja, nie mają innego.

Lecz gdy ona spoglądała na niego z smutném zadziwieniem dodał:

— Resztę mojego majątku straciłem w służbie króla, mojego pana, i udałem się do Anglij; tam przepędziłem sześć lat walcząc przeciwko Kromwelowi, dostałem się do niewoli i skazany zostałem na śmierć; lecz znalazłem sposobność do ucieczki z więzienia w Leith— i powróciłem do Francji.

— Ach mój Boże! rzekła Marja składając ręce.

— Przybyłem znowu do Paryża, przeszło po sześcioletniéj niebytności, mówił daléj Maubray smutnym tonem, aby widzieć się z temi osobami, z któremi rozłączyłem się w najokropniejszéj chwili życia mojego.

— Pan więc widziałeś moję siostrę, moję kochaną Ludwikę? zawołała Marja, ona sama oddała panu te listy?!

Te słowa wymówiła głosem zmienionym; wspomnienie Francji i rodziny gwałtowny wpływ na jéj serce wywarło i tak już mocno wzruszone. Nie mogła łez dłużéj wstrzymać.

Maubray spoglądał na nią z rozrzewnieniem i radością, i zdawało się jakby te ciche łzy chciał przyjąć do swego serca.

— Marjo, wyrzekł tak cicho, że ona to imie raczéj odgadnąć tylko mogła z poruszenia ust, niżeli w istocie usłyszéć. Natenczas, ostrzeżona niajako głosem sumienia, cofnęła swoje krzesło aż do drzémiącego obok jenerała i położyła swoję zimną drżącą dłoń na ręku chorego.

— Łaskawa pani, mówił Maubray daléj, za kilka chwil muszę wyjeżdżać i wkrótce będę w St. Domingo, zkąd jak się zdaje nigdy może nie powrócę. Pani wiész że hiszpanie prowadzą z nami tam wojnę.

W téj chwili obudził się jenerał nagle i spoglądając w około rzekł.

— Marjo, mnie się zdaję że mieliśmy słyszéć dzisiaj muzykę. Czyliżeś mi nie przyrzekła serenadę? Muzyka mogłaby pana Maubray na chwilę rozerwać, kiedy ja nie mogę dotrzymać mu towarzystwa; pani Enambuc skinęła na jednego z niewolników, który stał

przy drzwiach. W chwilę późniéj usłyszano muzykę za oknami. Doktór i Loinvilliers przybliżyli się także; muzyka posłużyła za pozór do przerwania rozmowy, którą wszyscy, wyjąwszy doktora, z wysileniem tylko mogliby daléj prowadzić. Marja stała nieruchoma obok jenerała i słuchała dźwięków muzyki nie słysząc ich, zdawało jéj się jakoby czas z niezwykłą szybkością upływał, a jednak ciężyła na jéj sercu każda minuta tych odwiedzin, których ukończenia tajemnie obawiała się. Za każdém poruszeniem Henryka dreszcz ją przechodził,gdyż zdawało jéj się że on już odchodzi.

Muzyka ciągle trwała. Po odegraniu kilku sztuk,zaczęto taniec, który był dawniéj w modzie w Paryżu. Marja zadrżała, kiedy obił się o jéj uszy pierwszy takt tego wesołego kadryla; przypomniała sobie po nim swoje pierwsze wystąpienie na wielkim świecie, bal, na którym znajdowała się wkrótce przed swojém zamęźciem. Bezwątpienia tony te obudziły także wspomnienia i w umyśle Maubraya,

gdyż on przyłożył rękę do serca, jakby uczuł w niém gwałtowną boleść. W kilka chwil późniéj powstał aby pożegnać się z jenerałem; potém ukłonił się Marji i wyszedł nie spoglądając już więcéj na nią.

~~~~~~~~
~~~~~~~~

II.

W dwie godziny później głębokie milczenie panowało w całym domu; światła zagasły, jedno po drugiém, poza żaluzjami ze trzciny morskiéj, a niewolnik, który drzwi główne zamknął, włożył klucze, jak zwykle, pod

poduszkę jenerała. Północ już była; wszyscy spali; słabe tylko światło błyszczało w jedném z okien pawilonu, a firanka gazowa, zawieszona przed żaluzją, nadymała się od wiatru wiejącego ze strony morza. Lampa nocna w pokoju pani Enambuc rozszerzała to słabe światło, wpośród głębokiéj ciemności, jaka zaległa na całym widokręgu. Młoda kobiéta dopiéro co się rozebrać kazała; obszerny szlafrok muślinowy okrywał jéj kształtną kibić i spadał na małe, bose nóżki, które spoczywały na delikatnéj plecionce z sitowia. Zamyślona, z głową spuszczoną, zwijała długie loki swoich włosów i chowała je pod jedwabną chustkę, która otaczała jéj głowę jak lekki turban. Klęcząca przy nogach jéj niewolnica trzymała w ręku pantofle z haftowanego safjanu, tak szczupłe, że dzié cię mogłoby je nosić. Inne służebnice przygotowywały wszystko aby mogło udać się na spoczynek; jedna rozciągała obszerny baldachin z gazy nad łóżkiem, druga wstawiła pod dzwon porcelanowy lampę-

która przez całą noc palić się miała, trzecia chłodziła powietrze poruszając wielkim wachlarzem z liści palmowych, na bambusowym trzonku.

W kilka chwil później wszystkie oddaliły się, jedna tylko niewolnica pozostała, która na ziemi przy łóżku pani spać zwykła. Była to młoda dziewczyna niepodobna zupełnie do innych niewolnic w tym domu. Jéj świecące się, czarne włosy, ostre rysy twarzy, i jasno brunatna skura świadczyły o jéj zupełnie inném pochodzeniu: ona należała do tego dzikiego plemienia, które wygnane zostało przez europejczyków ze swych rodzinnych siedlisk, i rozproszyło się na wschodnim brzegu i w środkowéj części wyspy. Indjanka ta miała smutny wyraz twarzy i niespokojne spojrzenie, co właśnie cechuje to dzikie pokolenie; lecz uśmiech jéj był łagodny, i w całéj postaci jéj widzieć można było miłe zaniedbanie, jakie nie łatwo znaleźć u kobiét, które pędzą życie przy lekkich za-

trudnieniach i w materjalnym dobrym bycie.

— Palido, rzekła pani Enambuc mocno oddychając, odsłoń firankę, bo mi bardzo duszno.

Niewolnica zciągnęła podwójną gazę z przed okna i uklękła przy nogach pani Enambuc.

— Łaskawa pani, rzekła, niebo jest czarne od strony morza, téj nocy może będzie burza.

— Niechaj Bóg ulituje się nad biédnemi podróżnymi, szepnęła pani Enambuc spoglądając ku oknu.

Nieoświécone gwiazdami niebo utworzyło na widokręgu jednę całość z czarném i nieruchomém morzem, lekki szum dochodził od strony lasów i mięszał się z dalekim szmerem jakiegoś strumyku, ukrytego pod stropem z bluszczu. Szybkie błyskawice przedzierały bez przestanku ciemność téj parnéj nocy, a świécące robaczki, przebiegając po powietrzu nakształt meteorów, znikały w gęstwinie liści drzew kassjanowych. Ananasy, jaśminy,

mnóstwo kwiatów w ogrodzie kwitnących, rozlewały miły, aromatyczny zapach, który mięszał się z wilgotném tchnieniem lasów. W parném powietrzu i przesyconém wonią, było cóś takiego, co usypiało duszę i odejmowało jéj rzeźwość; Marja doświadczyła tego. Obudzone w jéj sercu wspomnienia powoli zagasły; wzniosła spokojny wzrok ku niebu i rzekła z zupełną ufnością:

— Boże mój! opiekuj się tym, którego ja widziéć więcéj nie powinnam, i spraw abym zapomniała o tym czasie, kiedy mogliśmy się kochać wzajemnie!

Lecz ta sama modlitwa obudziła znowu wspomnienia, które ona przytłumić chciała; myśli jéj pomimowolnie zwróciły się do tego dnia w którym ojciec jéj oświadczył iż przyrzekł jéj rękę markizowi Maubray, do téj uroczystości, podczas któréj pierwszy raz wystąpiła jako jego narzeczona, wspomniała na wzajemną miłość, tak prędko ztarganą przez nieubłaganą dumę rodziny, i te związki, zniweczone z tak głębokim ich żalem.

Sześć lat, które przeżyła tak spokojnie i szczęśliwie, zniknęły przed tém wspomnieniem, które z gwałtownością dopominało się o swoj prawa, po tak długiém ukrywaniu się w najtajeniejszych zakątach jéj serca.

— Ach, mój Boże: powtórzyła przelękniona tém cierpieniem, oddal ode mnie te myśli!... miéj litość nad moją słabością!

W téj chwili niewolnica, wsparta na oknie, wyprostowała się nagle i stała ciągle z oczami wlepionemi w ogród.

— Co to jest Palido? zapytała pani Enambuc przebudzona raptownie z swych marzeń.

— Łaskawa pani, odpowiedziała, to rzecz dziwna. Możnaby sądzić że tam są Karaiby.

— Karaiby! zawołała młoda mężatka powstając z przelęknieniem, to więc drogi ztąd do Fort-Royal nie są pewne? Ach mój Boże!... Lecz jakież dziecko ze mnie!... Maubray przecież morzem powracał.

Skoro przyszła znowu do siebie, dodała: Ty mylisz się Palido: nie ma nikogo na dole. Dlaczegóż mieliby dzicy opuszczać swoje chaty? Coby tutaj robili? Jak z resztą mogłabyś poznać ich wśród tak ciemnéj nocy?

— Ja ich nie widzę wyraźnie, odpowiedziała Palida, lecz łaskawa pani wié dobrze, że za pomocą powonienia pierwéj przekonać się można o obecności Karaibów, niżeli za pomocą wzroku.

To mówiąc obróciła się twarzą pod wiatr i zaczęła zwolna i mocno wciągać w siebie powietrze, jakby dla przekonania się dokładniéj o zapachu, który uderzył jéj powonienie. Równie jak wszyscy dzicy posiadała zmysły nadzwyczaj bystre. Po chwili odstąpiła od okna i rzekła.

— Wiatr się uspokoił, czuję tylko woń ananasów i jaśminu, jeżeli tu Karaiby krążyli, będzie można widzieć jutro na piasku ich stopy, jeżeli tylko powracające do morza nie zatrą śladów po sobie.

— Lecz ci biédni poganie nie mają przecież z natury bardziéj czerwonéj skury, jak twoja, Palido, i nie można by ich poznać po zapachu, gdyby chodzili zupełnie nago.

Tak jest, bezwątpienia; strój tylko, jaki co dzień przywdziewają, nadaje im kolor czerwony i ów szczególny zapach. Każdy Karaib codziennie, po wykąpaniu się w rzece albo w morzu, nie mniéj jak godzinę trawi na ubiéraniu się. Naprzód, jego żona splata mu starannie włosy i zdobi piórami, perełkami szklannemi i innemi świécidłami; następnie namaszcza czoło jego mięszaniną z oleju palmowego i korzenia rucu; najbardziéj wykwintni w stroju każą sobie jeszcze rysować czarne zygzaki sokiem pewnego rodzaju bluszczu, i zdaje im się natenczas, że są tak piękni jak pani, kiedy przywdziejesz swą suknię atłasową ze srebrną koronką i naszyjnik smaragdowy.

— I oni codziennie odnawiają ten piękny strój?

— Ach, bezwątpienia, łaskawa pani.

— A gdybym dała ci pozwolenie, czybyś powróciła do karaibów?

— Nigdy, nigdy! w ich chatach nie może już mieszkać ten, kto przywykł do lepszego życia i nauczył się modlić do Boga.

— Lecz ty byłabyś wolną.

— Wolną? och, nie, nie, łaskawa pani. U karaibów wszystkie kobiéty są niewolnicami i dotego złych mają panów.

Kiedy to mówiła, taki smutek odmalował się na jéj twarzy, że pani Enambuc spojrzała na nią zadziwiona i rzekła:

— Ty już więc nie masz matki?

— Moja matka umarła! odpowiedziała Palida,— mój ojciec ją zabił.

— Ach, mój Boże!

—Tak jest, łaskawa pani, i zaraz na drugi dzień pojął inną. U karaibów życie kobiéty nie więcéj jest cenione, jak bydlęcia; ro-

dzą się tylko dla tego, aby pracować i umrzéć.

— Biédne stworzenia! — Będą szczęśliwsze, skoro ci poganie nawróceni zostaną przez missjonarzy.

W téj chwili głośne psa szczekanie dało się słyszéć od strony chat murzyńskich.

— To Nankin, zawołała Palida przybliżając się do okna, — czy on zwietrzył Karaibów?

— Olboż on ich zna?

— To biédne zwiérze należało kiedyś do pustelnika, który mieszkał w tych stronach i zabity został przez dzikich.

Po chwili milczenia pani Enambuc rzekła:

— Krata jest zamknięta, dwunastu ludzi znajduje się w izbie straży, a jeden czuwa przy bramie i gotów jest wystrzelić do każdéj podejrzanéj osoby.—Możemy spać spokojnie...

— Jacyś ludzie są w ogrodzie, przerwała Palida, czy pani słyszy, tam na dole, pod pawilonem.

Pani Enambuc szalona myśl przyszła do głowy; zdawało jéj się że Maubray nie odjechał, i że w bliskości oczekiwał w téj na dziei, że będzie mógł jeszcze raz przed odjazdem, z nią się pożegnać.

— Zasuń żaluzje, Palido, rzekła żywo, już późno, trzeba spać.

Niewolnica schyliła się aby wziąść w rękę sznur od żaluzji, który przymocowany był do muru za oknem; w téj chwili lekki pęd wiatru od morza ruszył gałęziami drzew kassjanowych, których długie strączki smutnie zaszeleściały. Palida zwróciła znowu twarz swoję do wiatru; z otwartemi ustami i rozszerzonemi otworami nosowemi, starała się rozpoznać woń, którą powietrze wraz z zapachem kwiatów i owoców rozszerzało. W kilka sekund spuściła żaluzje i rzekła zmienionym głosem:

— Na zbawienie mojéj duszy, ja się nie mylę — karaiby są na dole!

— Jezus-Marja! trzeba wszystkich pobudzić, odpowiedziała pani Enambuc biegnąc do okna.

Palida skoczyła ku niéj.

— Nie przybliżaj się pani, nie przybliżaj, zawołała, mogłaby panią strzała ugodzić. Karaiby tutaj najpierwéj zwrócą swoje oczy, gdyż widzą swiatło.

— Ci ludzie za pomocą zdrady dostali się tutaj. Oni napadną na nas, rzekła pani Enambuc z trwogą. Boże, zlituj się nad nami!

To mówiąc wybiega z pośpiechem na długi korytarz prowadzący do pokoju jenerała, lecz w połowie drogi zatrzymuje się...

— A moje dziécię, Palido! zawołała wracając się, weź moje dziécię i przynieś je do mnie!

Jenerał kazał oddalić się dwóm niewolnikom, którzy zwykle spali przy nim; nie był jednak sam w pokoju. Loinvilliers siedział przy łóżku i czytał papiéry przywiezione

z St. Pierre. Jedna tylko świéca rozléwała blade światło na ten milczący pokój.

— Marja?! zawołał jenerał, skoro ujrzał na progu swą żonę bladą i zadyszaną. To ty jesteś Marjo? tak późno, a jeszcze nie śpisz? co się takiego stało?

— Jesteśmy w niebezpieczeństwie, odpowiedziała drżącym głosem, gromada karaibów dom otoczyła... Palida ich poznała... oni są pod oknami...

— Co mówisz?! przerwał jenerał podnosząc się, oto są klucze od bramy, a przedrzéć się przez płot, równie trudno, jak zdobyć zamek St. Pierre. W téj chwili weszła Palida z kilkoma niewolnicami niosącemi na ręku uśpione dziécię.

— Czy ty sądzisz że karaiby krążą około domu? zapytał jenerał, powiédz, cóżeś widziała?

Ona powtórzyła to, co mówiła do swojéj pani. — Wszyscy śpią w całym domu, dodała, nie ma nikogo na galerji, ani w dolnéj sali; okna są dobrze pozamykane

i z wewnątrz pozasuwane, równie jak i główne drzwi.

— To dobrze, rzekł jenerał spuszczając swą zmordowaną głowę na poduszkę. Nikt nie wychodził i nie można obawiać się, ażeby brama ogrodowa przez zdradę karaibom otworzoną została... Ty marzyłaś Palido.

— Dałby Bóg, łaskawy panie, rzekła, lecz niech pan nie zasypia... Nagle wstrzymała się, gdyż blade światło ukazało się pomiędzy deseczkami żaluzji.

—Panie, mówiła daléj, wiatr wieje od morza; przy świetle błyskawic możesz pan przekonać się, co się dzieje w ogrodzie i czy ja się mylę.

Loinvilliers przystąpił do okna. Mocna błyskawica przedarła ciemności nocy i grzmot zahuczał w oddaleniu. Hrabia spuścił w téj chwili zaluzją, którą trzymał podniesioną w jednéj ręce, i zawołał pokazując jąc strzałę utkwioną w rękawie jego kaftana:

— Oto najoczywistszy dowód; stu przeszło znajduje się pod temi oknami.

To mówiąc wyrwał strzałę i dodał spokojnie: nie jest zatruta, inaczéj rana byłaby śmiertelną.

Palida przystąpiła znowu do okna i spoglądała przez szpary w żaluzjach na ogród, ciągle prawie oświécony światłem błyskawic.

— Oni przeszli płot, rzekła zdziwiona, patrz pań!

Dzicy w istocie przebyli ten straszliwy szaniec za pomocą szczególniejszego wybiegu. Poza ogrodem stało drzewo daktylowe, które gałęziami swemi stykało się z drzewem kassja, roztaczającém swe konary w końcu ogrodowéj alei; karaiby przeszedłszy ten nadpowietrzny most dostali się, jeden po drugim, tajemnie do ogrodu. Nie było czasu do namysłu; trzeba było działać, przedsiewziąść środki obrony. Nie pierwszy to raz napadali dzicy na ustronnie stojące do-

mostwa, i wiedziano dobrze w jaki to sposób oni gościć zwykli.

Ienerał podniósł się z łożka, i zbliżył się do swojéj żony, która siedziała w rogu pokoju, trzymając syna na ręku, i zdawała się być pogrążona w ponuréj rozpaczy.

— Marjo, rzekł do niéj, ty pozostaniesz z dziécięciem na galerji, ... Nie przybliżaj się do okna... nie odważaj się wyglądać co się dzieje w ogrodzie... Marjo, przyrzeknij mi że tu będziesz oczekiwać z cierpliwością, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

— Ach, a ty?! zawołała... Ty pójdziesz narażać swoje życie!...

— To jest moja powinność:

— A moją powinnością jest być zawsze przy tobie — nie opuszczać się!

— Odejdź Marjo, przerwał jenerał rozkazującym tonem, wskazując na drzwi do galerji prowadzące, oczekuj na mnie i módl się...

Ona pochwyciła go za rękę, przycisnęła ją do ust swoich, i wznosząc głowę rzekła

głosem, w którym malowała się uległość, lecz zarazem śmiałość i duma: — Tak jest, będę ci posłuszną i bądź przekonany że się nie obawiam... Wiem że ty obronisz twoję żonę i dziécię... A gdybyś poległ w walce, bądź pewnym że nie wpadnę za życia w ręce tych nędzników.

Tylko co to wyrzekła, straszliwy okrzyk rozległ się na dworze i zarazem potężne uderzenia wstrząsnęły głównemi drzwiami domu.

— Do drzwi! Loinvilliers! do drzwi!

Za kilka chwil wszyscy byli na nogach w całym domu. Jenerał wysłał kobiéty do swojéj żony i poczynił przygotowania do obrony. Uzbroił negrów i ustawił ich w pewnym rodzaju kazamatów, gdzie będąc zupełnie bezpieczni, bronić mogli przejścia przez sień; a sam udał się do drzwi z panem Loinvilliers.

To było cudem prawie że ten człowiek strawiony gorączką, wycieńczony tak długiemi cierpieniami, odzyskał nagle siły i swoję zwykłą energją w chwili niebezpieczeństwa. Czyniąc przygotowania do walki, w któréj chociaż on miał z swéj strony przewagę pod względem broni i korzystnego położenia, z łatwością jednak mógł odnieść zwycięstwo przewyższający go co do liczby nieprzyjaciel, wydawał rozkazy głosem silnym i pewnym, jak w St. Pierre, kiedy swoję milicją szykował.

Galerja, do któréj schroniła się pani Enambuc, znajdowała się na piérwszym piętrze, a okna wychodzące na część ogrodu nazwaną labiryntem, wznosiły się przeszło na 30 stóp nad powierzchnią ziemi, i z powodu téj wysokości nie były zaopatrzone mocnemi okiennicami, jakie urządzono na dolném piętrze; zasłaniały je tylko lekkie żaluzje i firanki gazowe. Zupełna cisza panowała w tym obszernym pokoju, słabo tylko oświéconym przez lampę wiszącą na schodach; dwadzie-

ścia niewiast modliło się klęcząc, przejętych trwogą i rozpaczą. Zewnątrz rozlegał się ciągle straszliwy wrzask, okrzyk wojenny dzikich. Ich pałki uderzały bez przestanku jakby miarowo o ciężkie drzwi, a echo ze wszystkich stron budynku powtarzało te ciosy; groźniejszy to był i okropniej zy odgłos niżeli broni ognistéj.

Pani Enambuc trzymała na ręku syna i modliła się po cichu; ktoby ją piérwéj widział tak słabą i drżącą, zdziwiłby się teraz nad jéj odwagą i zimną krwią. Ta młoda kobiéta nie znająca jeszcze nigdy niebezpieczeństwa, któréj łagodność i lękliwość słabością nawet można było nazwać, miała w téj chwili silną duszę: niebezpieczeństwo położenia wzbudziło w niéj energją i spokojną odwagę.

— Moje diécię, rzekła do Palidy bladéj i modlącéj się na kolanach, życie nasze jest w ręku Boga... nie trwóż się... drzwi przecież długo jeszcze mogą się opiérać... Jezus-Marja! co za wrzask!... Lecz my tego hałasu

nie mamy się co obawiać, przecież mury od niego nie obalą się.

W téj chwili wpada doktór Janson blady i pomięszany:

— Ach, zawołał, pięknéj muzyki tam się nasłuchałem, i jak mi się zdaję, to cała noc będzie roskoszną.

— Doktorze, odpowiedziała pani Enambuc powstając, będziemy mieli rannych: to szczęście że pan tu jesteś.

— Szczęście! mruknął doktór wznosząc oczy i ręce ku niebu; nie piérwszy to raz zapewne pełnię moje obowiązki na polu bitwy; lecz zawsze walczył chrześcjanin z chrześcjaninem, ale dzisiaj te przeklęte karaiby...

Wystrzał z broni przerwał mowę doktorowi; on pośpieszył na schody aby zobaczyć co się dzieje na dole.

— To dobrze! rzekł stanąwszy w sieni poza drzwiami, które służyły mu zamiast tarczy, to dobrze!; strzelamy zupełnie zbli-

ska. Połowa z trafionych nie powstanie już więcéj z ziemi.

— Czy widzisz doktorze mojego męża? zapytała pani Enambuc wsparłszy się na poręczy przy schodach; powiedz mi pan czy go widzisz?

— On równie jak i wszyscy nasi ludzie jest zupełnie bezpieczny za drzwiami, oni dają ognia przez strzelnice:

Nowy wystrzał zahuczał jak grzmot i wstrząsnął prawie całym domem; zewnątrz jeszcze okropniejszy wrzask powstał i potém nagle wszystko ucichło.

— Tym razem zmietliśmy na czysto, z - wołał doktór wysadzając z swéj kryjówki głowę, chwała Bogu! W izbie straży hałas się zrobił. Usłyszemy wkrótce z tamtéj strony wystrzały karabinowe, jeżeli tylko nie napadli na straż i nie wymordowali ją, co niepodobna!

— A negrowie! negrowie! przerwała pani Enambuc ożywiona nagle nadzieją; oni przyjdą nam na pomoc!

— Lecz oni broni nie mają, odpowiedział doktór, matko Boska! żeby tylko tym niewolnikom nie przyszło do głowy przyłączyć się do tych nędzników!

Nowy straszliwy krzyk zagłuszył doktora, a zarazem brama jęknęła pod zaciętemi razami, które podobne były do uderzeń owéj maszyny wojennéj, jakiéj używano dawniéj do robienia wyłomów w murze. Żelazem okute bale pękają; rozwarte podwoje opiérają się jeszcze przez chwilę, lecz nareszcie upadają pod natarczywém parciem. Okrzyk zwycięzki wzbił się pod niebiosa, lecz prawie w téj saméj chwili rozległ się drugi huk przeraźliwy; brona żelazna, będąca poza głównemi drzwiami zpuszczoną została i najeżyła przeciwko napadającym swe silne sztaby żelazne. Dzicy uderzają na tę nową zawadę z podwójną wściekłością i zarzucają sień całą gradem strzał, które jednak nikogo nie ugodziły.

Doktór wybiegł śpiesznie na piérwsze piętro, lecz na ostatnim schodzie zatrzymał się spoglądając z trwogą na dół:

— Brona dłużéj opierać się będzie niżeli drzwi, rzekł, chwała temu, który ją zrobił tak silną i trwałą. Proszę patrzéć na nią, opiéra się jak skała pod razami tych nędzników... Okropny wrzask... lecz już musieli nasze strzały usłyszéć; bębny muszą zapewne rozlegać się od wielkiéj zatoki aż do zamku St. Pierre; przyjdą nam na pomoc. Milicja w sztuki porąbie tych pogan, tych ludożerców... będziemy ocaleni...

— Oby Bóg i N. Panna wysłuchali ciebie doktorze, rzekła pani Enambuc stojąc we drzwiach galerji z synem na ręku.

Dziesięć minut oczekiwano w niewymownéj trwodze. Daleki huk grzmotu mięszał się z wściekłym wrzaskiem karaibów, którzy z podwójném wysileniem uderzali na bronę żelazną; błyskawice oświéciły nagle niebo i dały sposobność rozpoznać wśród ciemności ów tłum nagich ludzi, którzy wyli przeraźliwie jak potępieni. Ogień obleżonych nie ustawał, lecz mało czynił szkody napadającym, gdyż musiano strzelać w ukośnym kie-

runku. Dwa razy jednak wystąpił na środek sieni Loinvilliers i wystrzelił z obudwu pistoletów do tych, którzy uderzali swemi ciężkiemi pałkami w bronę żelazną. Wisząca u góry lampa słabe rzucała swiatło na sklepioną sień, mającą być wkrótce placem morderczéj bitwy, a przez sztaby żelaznéj brony zaledwie rozróżnić można było zmięszaną, ruchomą massę ludzi, która z wściekłą natarczywością uderzała na tę niespodzianą zawadę. Trupy i ranni w znacznéj ilości zalegli wystawę poza bramą, a głośne jęki mięszały się z wojennym okrzykiem dzikich.

— Ubiliśmy im wprawdzie wiele ludzi, rzekł jenerał do pana Loinvilliers, który stał przy wchodzie do sieni i nabijał broń, lecz musiemy się Bogu polecić, gdyż jeżeli nie będziemy mieli żadnéj pomocy, zginęliśmy; brona nie dłużéj jak pół godziny może się jeszcze opiérać.

— Będziemy bronić się w sieni, odpowiedział Loinvilliers zimno.

Właśnie kiedy słów tych domawiał, usłyszano z galerji przeraźliwy krzyk trwogi, i doktór ukazał się na schodach z rękami ku niebu wzniesionemi.

— Karaiby! karaiby wdzierają się! krzyknął, na pomoc! na pomoc!

Poza domem wrzask tak był wielki że zaledwie słyszéć mogli, co on mówił, jenerał zrozumiał jednak, co miały znaczyć te gesta.

— Loinvilliers, zawołał, czy słyszysz tam, na górze?

Hrabia wbiegł z pistoletami w ręku na schody. Okropne milczenie nastąpiło po tym okrzyku trwogi. Doktór Janson wskazał ręką na drzwi prowadzące do galerji. Loinvilliers spojrzał z przerażeniem, i wszystko odgadł raczéj, niżeli mógł widziéć, co się działo w téj napół ciemnéj sali, gdzie zupełne milczenie panowało. Był to szczególny i okropny widok; niewolnicy uciekli na

drugi koniec galerji i cisnęli się w najciemniejszy kąt, jak trzoda napadnięta przez zwiérzę drapieżne; pani Enambuc stała sama przy ścianie, zakrywała swą osobą syna i modliła się. O dwa kroki od niéj, przed oknem, karaib z wzniesionym w górę mieczem spoglądał na około z dzikiém wejrzeniem. Prawie w téj saméj chwili inny karaib pokazał się w drugiém oknie i wskoczył na galerją; obadwa spostrzegli zaraz panią Enambuc; rzucają się ku niéj i chwytają za jéj długie włosy. Lecz Loinvilliers był tam.

— Marjo! woła, odbijając pchnięcie, które miało ją spotkać; Marjo ja jestem!... i wystrzałem z pistoletu kładzie trupem dzikiego. Uderzył potém na drugiego; walka, w któréj każde uderzenie nie było bez skutku, nie trwała dłużéj jak dziesięć minut. Loinvilliers miał już tylko sztylet,—krew lała mu się z obszernéj rany; lecz on ujrzał panią Enambuc leżącą na ziemi prawie bez duszy, i podwoił jeszcze swą odwagę rozpaczającą. Nareszcie

ugodził tak swego przeciwnika, że ten upadł bez życia; nateczas jeszcze raz zebrał ostatki sił swoich, pochwycił oba trupy i wyrzucił je oknem na dzikich, którzy wdzierali się po murze.

Doktór przystąpił tymczasem do pani Enambuc dla udzielenia jéj pomocy i odzykał znowu, będąc przy swoich obowiązkach, przytomność umysłu i spokojność godną podziwienia. Gdyby dwudziestu dzikich wpadło w téj chwili, on nastawiłby głowę na uderzenia ich groźnych pałek, a nie ustąpiłby z swojego miejsca. Pochylony nad Marją, z natężoną uwagą przysłuchywał się oddechowi, który wznosił nieregularnie zbroczoną pierś téj młodéj kobiéty i badał puls jéj ręki.

— Ona nie żyje! zawołał hrabia, upadając na kolana obok Marji, ona nie żyje!

— Nie, dzięki Bogu! odpowiedział doktór, nie znajduję żadnéj rany, małe tylko zadraśnięcie na plecach; z trwogi zemdlała; oddycha teraz wolniéj!...

— Jezus! więc ja odbiłem uderzenie, rzekł słabym głosem Loinvilliers, i będę musiał umrzéć... Piękna śmierć... Oddałem życie moje za nią, powiédz to pan jéj...

Domawiając słów tych upadł na ziemię, prawie już nie żywy.

Kiedy się to działo na galerji, karaiby przełamali bronę żelazną i usiłowali zdobyć przejście przez sień, lecz ciągle dawano ognia do nich ze strzelnic. Skoro któren wystąpił tylko, legł natychmiast trupem.

Wystrzelanoby ich co do jednego, gdyby można było ciągle ogień utrzymywać, lecz zaczęło już brakować ładunków; nie mieli już ani kul ani prochu.

Tymczasem bębny odezwały się poza ogrodem i znaczna liczba mieszkańców przybyła z okolicy St. Pierre. Skoro stanęli na pagórku wznoszącym się od strony morza, dali ognia z karabinów, a huk ten powtórzony przez echo dał się nawet słyszéć w kazamatach. Przelęknieni karaiby usiłują ratować się ucieczką, lecz ze wszystkich stron

płot stawia im nieprzebytą zaporę. Starają się wydostać na płaszczyznę przez ten most nadpowietrzny, którędy wcisnęli się do ogrodu; lecz nie wielu mogło uciec tą drogą. Kiedy nareszcie i milicja przybyła, prawie wszyscy ci nieszczęśliwi wyciętemi zostali pod murami domu.

W godzinę późniéj zajaśniał dzień, i wszędzie widziéć można było okropne ślady ostatniéj walki. Milicja obozowała w ogrodzie, a niewolnicy z dozorcą na czele kopali doły i grzebali poległych. W samym domu jeszcze smutniejszy był widok; jenerał leżał na łożu; siły, które odzyskał w chwili niebezpieczeństwa, odbiegły szybko od niego i podczas téj okropnéj nocy wyczerpał resztę swojego życia; blady, nieruchomy, spał snem, który mało się już różnił od śmierci. Marrja siedziała obok niego i kładła niekiedy mimowolnie rękę na lekko ranioną pierś swoją. Jéj oko suche, nieruchome, prawie bez żadnego wyrazu, świadczyło o tém osłabieniu jakie zwykle po gwałtownych i boleśnych

wzruszeniach następować zwykło. Doktor Janson stał w głowach chorego i spoglądał smutnie, lecz z natężoną uwagą, na postępy téj walki ze śmiercią, któréj sztuka jego nie mogła już przedłużyć nawet. Domownicy stali opodal w milczeniu i smutni. Nagle podniósł się jenerał.

— Marjo! zawołał krótkim, osłabionym głosem.

— Jestem tutaj, odpowiedziała młoda kobiéta powstając.

— Marjo! moja droga Marjo! pójdź tutaj, niechaj cię zobaczę. A mój syn?

Palida przyniosła chłopczyka, którego jasnowłoséj główki dotknął się on, jakby błogosławiąc; potém mówił daléj: — gdzie jest Loinvilliers?

— On jest na galerji, odpowiedział doktór.

— Czy pan ręczysz za jego życie, zapytał chory z wysileniem.

— Ręczę za jego życie mojém własném.

— Niech więc on przyjdzie tutaj, lecz natychmiast, rzekł jenerał opadając z osłabienia na poduszki.

W chwilę późniéj przyszedł Loinvilliers wspierając się na dwóch niewolnikach; chociaż nadzwyczajnie blady, jednak spojrzenie jego pełne życia świadczyło iż śmierć od niego ustąpiła. Jenerał skinął na niego aby mu podał swą rękę; scisnął ją i rzekł głosem przerywanym lecz zrozumiałym: — Nie mam czasu rozmawiać długo z wami, Loinvilliers, — kapłan z Tertre wkrótce przyjdzie, — Bogu winienem poświęcić ostatnie chwile.

Marja ukryła twarz między poduszki chorego, potém obróciła się do doktora i rzekła: — To niepodobna. Tak przecież nikt nie umiéra. — On jeszcze długo żyć będzie: — pan to zaręczyłeś wczoraj, doktorze.

Doktór odsunął się cokolwiek za chorego i smutnie spuścił głowę. Pani Enambuc usiadła znowu; ona nie wierzyła aby jéj mąż

był tak bliskim śmierci i modliła się gorąco do Boga.

— Loinvilliers, zaczął znowu jenerał głosem słabym i tak cichym że hrabia, który pochylił się ku niemu, zaledwie mógł go słyszéć, Loinvilliers, pan wiesz co mówiłem wczoraj wieczór. — Spuszczam się na pana uczciwość i odwagę. — Będziesz rządził na mojém miejscu przez czas małoletności mojego syna, wspólnie z jego matką. — Zapewnisz dla niego po mnie dziedzictwo.

Zamilkł, — potém uczynił ostatnie wysilenie i zwracając oczy ku Marji dodał: — a kiedyś ożenisz się z Marją.

Twarz hrabiego zbladła jeszcze bardziéj; pochylił się nad łóżkiem chorego wydając słaby krzyk niezrozumiały. Jenerał upadł znowu wysilony na poduszki; trzymał jednak ciągle za rękę hrabiego; coraz słabszy wydobywał się oddech z jego piersi; rysy twarzy przybrały zwykłą spokojność, i można było sądzić że spał.

Marja nic nie słyszała; wysilenie stępiło w niéj wszelkie uczucie; widziała, słabe tylko co się koło niéj działo; nawet cierpienie wygasło wśród tego zupełnego rozprzężenia ciała i duszy. Loinvilliers stojący naprzeciwko niéj, po drugiéj stronie łóżka, wlepił w nią swe oczy, i sciskał umiérającego za rękę z wyrazem najżywszéj radości.

Po kilku minutach przystąpił znowu doktór, który oddalił się był na stronę aby nie przeszkadzać podczas téj ostatniéj rozmowy, i zciągnął firanki od łóżka. Skoro zobaczył jenerała, pochwycił żywo za rękę pana Loinvilliers i rzekł: —Trzeba odprowadzić panią Enambuc! Czy pan nie widzisz, już skończył?!

III.

Słońce skryło się za gromadą czarnych chmur, których fantastyczne kształty rozciągały się jak olbrzymie duchy na niebios błękicie. Jaskrawo czerwona wstęga otaczała ostateczny koniec widokręgu, co jest niezawodną skazówką burzy. Chociaż naj-

mniejszego wiatru nie było, morze jednak z gwałtownością uderzało o mury zamku St. Pierre, jakby jakie podwodne powietrze wrzało w głębiniach i wyrzucało w górę bałwany. Brzeg był pusty: nie słychać było ani jednostajnego śpiéwu niewolników zajętych pracą w przystani, ani chrapliwego głosu majtków, ani wesołych krzyków dzieci, które podczas pogodnych wieczorów pływać zwykły przy brzegach, nie lękając się żarłocznych aligatorów znajdujących się częstokroć gromadami w tych wodach. Kilka świateł błyszczało w oddaleniu; wzdłuż brzegów wszędzie panowało milczenie i spokojność. Wyjąwszy tylko na morzu, którego wzburzone bałwany groźnie uderzały o brzegi.

Pani Enambuc siedziała w jedném z okien zamkowych, a wzrok jéj smętny błądził po rozległym widokręgu, słabo już oświéconym przez gasnące światło dzienne. Stojący za nią doktór Janson wyglądał jak ten, który rozmyśla nad rozwiązaniem jakiego trudnego

zadania. Pokoje w zamku St. Pierre były z przepychem lecz nie jednostajnie umeblowane. Sala audjencjonalna, w któréj znajdowała się pani Enambuc, nie miała w swych ozdobach nic eleganckiego; chociaż mnóstwo byłodrogich przedmiotów, nie zalecały się jednak ani misternością roboty ani wykwintnym smakiem; ściany nie były okryte dywanami; okna nie miały szyb wcale, założone tylko były rulety z białego atłasu z hińskiemi malowidłami; indyjski kobierzec pokrywał stół zarzucony listami, papiérami, jakby u jakiego ministra. Nad portretem jenerała w naturalnéj postaci, naprzeciwko drzwi wiszącym, znajdował się pewien rodzaj baldachinu. Okna téj obszernéj sali wychodziły na wały zamku oblane na około morzem; nawet podczas spokojnego dnia słyszéć można było ciągle głuchy szum bałwanów, a oko nie dostrzegało nic więcéj, jak tylko niezmierną przestrzeń, w któréj niebo i morze zlewały się w jednę całość.

Pani Enambuc wstała zwolna od okna i usiadła naprzeciwko obrazu jenerała. Do-

któr przystąpił do niéj, wziął ją za rękę i przyłożył swoje dwa palce, do pulsu prędko i nieregularnie bijącego. Po chwili Marja wstrząsając głową cofnęła rękę; doktór pomyślał przez niejaki czas i potém rzekł nagle:

— Pani jesteś słaba, — ja to widzę; lecz co pani jest, ja tego nie wiem.

— Co mi jest, doktorze? odpowiedziała krótko, jestem chora, tracę siły życia, — ja umrę.

— Ja to widzę, rzekł doktór wpatrując się w twarz jéj, ale dla czego?

— Ponieważ doświadczyłam nieszczęść przechodzących ludzkie siły, ponieważ utraciłam wszystko, ponieważ jestem daleko od méj rodziny, bez rady, bez pomocy, a okropna odpowiedzialność na mnie ciąży.

Doktór wzruszył ramionami i po krótkiém milczeniu zaczął znowu mówić z niejakiém wachaniem się:

— Hrabia Loinvilliers posiada przecież pani zaufanie.

— Nie, doktorze, bynajmniéj, odrzekła pani Enambuc zimno, i gdyby nie pamięć na jenerała, na jego ostatnią wolą, którą szanuję jak wolą Boga, nie otrzymałby hrabia nigdy tyle wpływu i władzy; jest to dumny, mściwy i namiętny człowiek; ja się mam względem niego na baczności.

— On przecież poświęcił się zupełnie dla pani, rzekł doktór spoglądając bacznie na panią Enambuc, on poświęcił się ofiarując równie śmierć jak życie swoje; czyż pani nie miałaś tego dowodu?

— On mi życie uratował narażając swoje własne, odpowiedziała, ja to wiem dobrze.

— Już wczoraj rok minął jak jenerał rozstał się z tym światem, mówił doktór daléj, i od tego dnia służy pani hrabia z zapałem i poświęceniem się; nie pojmuję co może być dla pani powodem do zwątpienia o jego wierności i uczciwości. Czego się pani obawiasz z jego strony?

— Jego przywiązania, odpowiedziała pani Enambuc.

— Ach! odrzekł doktór zdziwiony, to on już o niém mówił?

— Jeszcze nie, odpowiedziała Marja prostując machinalnie swą suknię z czarnéj kitajki, jeszcze się nie odważył.

— Lecz żałoba pani kończy się z dniem dzisiejszym, i służący stosując się do zwyczajów, już ją złożyli.

— Ja ją jeszcze długo nosić będę, rzekła z cicha pani Enambuc przyciskając złożone na krzyż ręce do piersi, i rzuciwszy smutne spojrzenie na obraz jenerała, ach, gdyby żył ten, którego wszyscy opłakujemy, nie doznałabym tyle niespokojności i cierpień! Przy nim żyłam spokojnie i szczęśliwie; przywiązanie poswięcające się, jakie czułam dla niego, oddalało ode mnie wszelkie cierpienia; a teraz o Boże!...

Doktór nie ocenił godnie zaufania, jakiém obdarzyło go to serce dręczone wspomnieniami i tęsknotą: on mniemał po prostu że

pani Enambuc obawiała się wpływu jaki osiągnął hrabia, i zamiarów jakie on mógł układać. Położenie nie zdało mu się być niebezpiecznem.

— Lecz nawet gdyby hrabia robił sobie jakie nadzieje, rzekł po niejakim namyśle, gdyby nawet ośmielił się je pani wyrazić, nie rozumiem dla czego oświadczenie to miałoby nabawiać panią takiéj niespokojności?

— Ponieważ wtenczas musiałabym wybiérać między miłością i nienawiścią tego człowieka. Ja znam go dobrze, on odmownéj odpowiedzi nigdy mi nie przebaczy.

— Pani więc powzięłaś stałe postanowienie odmówienia mu swéj ręki? przerwał doktór niespokojny, czy pani rozważyła wszystkie wynikające ztąd skutki?.

— Tak jest, gdyż ja wiem wszystko co się dzieje, odpowiedziała pani Enambuc zimno, wiem że mam nieprzyjaciół, którzy tajemnie knują zamachy przeciwko mojemu zarządowi tą wyspą, wiem że Loinvilliers uważa się za

za niezbędnego do utrzymania w karbach tych niespokojnych. Dla tego powoli otoczył się swą własną gwardją,—gromadą awanturników! Od dawna już znane mi są te intrygi.

— A jednakowoż nie mogłaś pani im zapobiedz. W kim pani możesz pokładać nadzieję, że potrafi zniweczyć przeważny wpływ hrabiego?

— Może przybędzie ktoś! rzekła pani Enambuc rzucając smętne spojrzenie na morze.

—Jakto? ktoś taki, którego pani oczekujesz? zapytał doktór zdziwiony.

— Tak jest, którego już oddawna oczekuję, odpowiedziała Marja; znajduje się na świecie jeden człowiek, którego szlachetne uczucia są mi dobrze znane, człowiek, którego całe życie jest najpiękniejszym wzorem odwagi męstwa i wierności. Uwiadomiłam go

o mojém położeniu, i jeżeli on żyje jeszcze, niezawodnie przybędzie.

— Kiedy tak, daj Boże! aby jak najprędzéj przybył! rzekł doktór nadzwyczaj zdziwiony.

— Tak jest, on przybędzie; rzekła Marja pełna ufności. Lecz wkrótce wpadła znowu nagle w przykrą niespokojność oczekiwania;—lecz gdyby już nie żył?

Po chwili milczenia doktór rzekł znowu:..

— Ja już oddawna odgadłem uczucia pana Loinvilliers; on kocha panią, — kocha panią namiętnie i z zazdrością.

—Ja to poznałam z nienawiści, jaką chowa dla mojego syna, rzekła pani Enambuc z goryczą; biédne dziécię! moja czułość dla niego drażni pana Loinvilliers. Czysta, święta miłość macierzyńska jest powodem dla tego człowieka do zazdrości! Ach, wkrótce nadejdzie czas że będę musiała rozłączyć się z moim synem — odesłać go do Francji.

— Taka była wola jenerała, aby on był wychowany w Paryżu.

— I ja ją wypełnię, doktorze, rzekła pani Enambuc z uległością, to jest nawiększy dowód posłuszeństwa, jaki dać mogę dla tego, któremu nigdy dopóki żył, nie okazałam się nieposłuszną. Drogie dziécię! Wkrótce popłynie przez to niezmierne morze, a ja ztąd widzieć będe niknące żagle okrętu, który je uniesie.

Domówiła słów tych głosem drżącym i twarz swą zalaną łzami zwróciła do okna, pod którém słychać było szum bałwanów morskich.

— Moja umiejętność nie potrafi zaradzić słabości z podobnych cierpień pochodzącéj; mruknął doktór zniechęcony, dopóki pani zostawać będziesz pod wpływem takich myśli, gorączka pani nigdy nie opuści. Jestem przekonany że podróż i świéże powietrze górnych okolic byłyby dla pani bardzo skuteczne. A nadto, widok tylu nowych przedmiotów nadałby inny kierunek myślom pani

i uwolniłby panią w części od trosków przywiązanych do rządów. Prawdziwie, teraz jest czas abyś pani odbyła podróż po różnych częściach wyspy od tak dawna zamierzoną.

— Ja o tém ciągle myślę, odpowiedziała Marja, pan mi będziesz towarzyszył; doktorze. Chcę widzieć nową osadę na przylądku Vauclain.

— Podróż ta już nie jest połączona teraz z żadném niebezpieczeństwem, mówił doktór dalej po krótkiém milczeniu, nie pokaże się ani jeden karaib po drodze; pan Loinvilliers uwolnił nas na zawsze od tych straszliwych nieprzyjaciół.

— To prawda, rzekła pani Enambuc zmienionym głosem, hrabia srogo odpłacił się tym nieszczęśliwym i wytępił ich zupełnie! Ileż to krwi rozlano, mój Boże! Codziennie wspominam w modlitwach moich o tych poganach, którzy, mam nadzieję, nawróceni zostaną wkrótce na naszę wiarę.

— Pani więc pojedziesz do Vauclain? czy wkrótce?

— Tak jest, wkrótce, odpowiedziała zamyślona i wsparła się znowu na oknie.

Noc już była, a niebo ciemne równie jak morze okryło się chmurami, przez które zaledwie kilka gwiazd przeglądało. Pozapalane w pokojach zamkowych kandelabry rozszerzały jaskrawe światło pośród téj burzliwéj nocy; każde okno było niejako błyszczącą latarnią, któréj odbicie migało się na białéj pianie bałwanów. Tylko jeden niewolnik znajdował się w odległym pokoju od audjencjonalnéj sali; lecz kilka dam i kilku urzędników dworu pani Enambuc, oczekując na wieczerzę, grało w karty w piérwszéj sali, dla skrócenia sobie czasu.

— Łaskawa pani, rzekł z uszanowaniem doktór przystępując do Marji, bezwątpienia oczekują na panią...

— Tylko jeszcze chwilę samotności i swobody! przerwała żałosnym głosem, od

rana dzisiaj ciągle mię nachodzą, ciągłe kłopoty...

— Stan zdrowia często mógłby uniewinnić panią, jeżelibyś nie wypełniła tych uciążliwych obowiązków.

— To jest prawda, doktorze, jestem znużoną, — cierpię; aż do wieczerzy nie chcę widzieć się z nikim i zajmować się interesami, pan mi to zalecasz, wszakże prawda?

» Pan hrabia Loinvilliers” rzekł niewolnik otwiérając podwoje.

— On jest moim zastępcą, ma prawo każdéj chwili wéjść tutaj, rzekła z goryczą pani Enambuc; muszę go przyjąć i wysłuchać. Idź pan, doktorze; za kwadrans będę w salonie.

Pani Enambuc usiadła znowu przy stole; jedną ręką przerzucała z roztargnieniem nagromadzone papiéry, a drugą przycisnęła do piersi, jakby chciała przytłumić bolesne wzruszenie; twarz jéj jednak była zupełnie spokojną i na pozdrowienie pana Loinvilliers

odpowiedziała z zimną krwią nie ukazującą bynajmniéj ani nieukontentowania, ani obawy, ani téż zakłopotania. Hrabia przystąpił bliżéj z zimną powagą, jakiéj twarz jego nabrała w skutek przyzwyczajenia do ciągłego uczuć swoich tajenia. Z początku mogła pani Enambıc sądzić że i tym razem nie będzie przedmiotem rozmowy oświadczenie, którego ona się tak obawiała, i że przyszedł tylko naradzić się w sprawach zarządu. Dla tego ośmieliła się podnieść oczy na tego człowieka, którego zarówno miłości jak nienawiści lękała się, i rzekła do niego słabym głosem:

— Cóż zaszło dnia dzisiejszego? Czy pan masz wiadomości z Francji? Czy przybył jaki okręt?

— Nie przybył, łaskawa pani, odpowiedział Loinvilliers, zanosi się na burzę; żaden okręt nie odważyłby się teraz zbliżyć do brzegów. Stojące w przystani schroniły się do zatoki przy Fort Royal.

— To dobrze. Spodziewam się że téj nocy nie będzie żadnego nieszczęśliwego

wypadku ani na morzu, ani na brzegach. Mieszkańcy zapewne równie jak i żeglarze przedsiewzięli potrzebne środki ostróżności dla zabezpieczenia się przed burzą.

— Osadnicy po większéj części są tak niedbali, że o nich pamiętać trzeba było. Wzdłuż brzegów jest wiele zabudowań wystawionych na zalew morza, i nie bardzo byłoby bezpiecznie spać w nich przez noc dzisiejszą; dla tego wydałem rozkazy aby wszyscy mieszkańcy tychże domów zgromadzili się tutaj i pozostali aż do jutra rana.

— A negrowie?

— Negrowie? — o tych się wcale nie troszczyłem; ich panowie mogą zrobić z niemi co się im będzie podobało. Ja powinienem był tylko myśléć o zabezpieczeniu mieszkańców, ale nie o zabezpieczeniu ich własności. Twoja opieka, łaskawa pani, nie może rozciągać się tak daleko; to do nich należy aby zabezpieczyli swoje towary swoich

niewolników, żeby ich morze téj nocy nie uniosło.

— Lecz gdzież oni mają umieścić swoich niewolników? przerwała pani Enambuc,—pod gołém niebem? O ich zabezpieczeniu niezawodnie na samym końcu pomyślą, ponieważ nie potrzebują się obawiać, aby uszkodzeniu nie ulegli jak indygo i cukier. Czyliż negrowie po całodziennéj pracy wśród niepogody, mają spać pod murami zamku, nie będąc zabezpieczeni od burzy i deszczu?—Tego ja nie chcę. Los tych nieszczęśliwych staje się co dzień bardziéj opłakany, a ja to sobie uważam za mój obowiązek, aby się niemi opiekować, aby im pomagać. I oni także powinni znaleźć téj nocy schronienie.

Taka litość, taka ludzkość względem murzynów nie zgadzała się zupełnie ze sposobem myślenia pana Loinvilliers. Urodzony i wychowany w Ameryce, miał uporczywe przesądy kreolów, i negra nie uważał za

nic więcéj jak za bydlę, za swego psa, albo konia. Tym razem nie starał się zbijać szlachetne wyobrażenia pani Enambuc; lecz wziął za pióro aby napisać rozkaz, który óna dopiéro co wydała, i rzekł tylko z oziębłością, w któréj przebijała się nawet pewna ironja:

— Czy pani rozciągasz swoję dobroć i do zastawionych?

— Bezwątpienia, odpowiedziała żywo, nieszczęśliwi! — bardziéj godni litości niżeli murzyni, chociaż do białego pokolenia należą, równie jak my.

Tak też było w istocie. Zastawionemi na Antyllach nazywano tych biédnych awanturników, którzy dla zaspokojenia kosztów przeprawy do wysp zaprzedawali swoję wolność na trzy lata. Zachodnio-indyjska kompanja szczególniéj trudniła się tym obmierzłym handlem, i okręta przewoziły do osad tysiącami tych nieszczęśliwych, których wabiła nadzieja, że po wytrwaniu krótkiéj niewoli, zapewnią tam sobie nadal szczęśli-

wą przyszłość. Dopóki trwało to zobowiązanie, los ich bardziej godnym był litości niżeli negrów. Właściciel nabywający prawa do trzech lat ich życia, ochraniał ich mniéj jeszcze niżeli swoich niewolników; gdyż on nie troszczył się wcale o to, czy po upływie czasu przeznaczonego na wysługę, zdrowie ich nie zostanie zupełnie zniszczoném. Nie tłumaczył się wcale przed nikim jakich środków używał dla znaglenia ich do pracy i posłuszeństwa; karał ich dla tego w ten sam sposób co i negrów; leniwych i krnąbrnych spotykała chłosta i więzienie. Z tego powodu w osadach uprawianych przez tych ludzi, śmiertelność wielką była do nieuwierzenia. Jednakże, podług powszechnego mniemania st n zastawionych wyżéj był ceniony niżeli negrów; tamci przeżywszy piérwsze trzy lata srogiego doświadczenia, często dorabiali się w krótkim czasie majątku i przyzwoitego położenia, gdy tymczasem obdarzony wolnością murzyn nigdy zatrzéć nie potrafił swego pochodzenia

i pierwotnego swojego stanu. Wreszcie los tych ludzi, którzy udawali się do wysp, po większéj części zupełnie był oddany samowolności władz zarządzających w osadach; każdy, po wylądowaniu nie będący wstanie okazania pewnych środków do otrzymania życia, uważany był za zastawionego i oddany natychmiast któremu z właścicieli kolońji. Taki stan rzeczy był powodem do wielu okrucieństw, którym przez szczególne ustawy prawa zapobieżono dopiéro w 50 lat po zaprowadzeniu piérwszéj kolonizacji na francuzkich Antyllach.

Pan Loinvilliers napisał kilka wierszy i zadzwonił potém z niecierpliwością. Natychmiast pokazała się we drzwiach czarna, niema postać niewolnika. Hrabia oddał mu pismo i zwróciwszy się do Marji rzekł z pewnym uśmiechem:

— A więc łaskawa pani może być spokojną o tych, któremi dobroć jéj się opiekuje; los tych biédaków zajął panią na chwilę, zaiste więcéj szczęścia i zaszczytu niżeli

oni zasługują. Zastawieni są to po większéj części ludzie zepsuci, złoczyńcy, którzy obawiali się ciągle szubienicy we Francji i dla tego schronili się do naszych kolonji. Prawie zawsze nie można wiedzieć co za jedni są, i zkąd przybywają; tysiące bajek opowiadają o swém pochodzeniu, a nigdy nie mają papiérów dla poparcia swoich twierdzeń. Na szczęście bardzo krótko odbywają się tutaj procesa z temi włuczęgami, bicz dozorcy prędzéj ich rozumu nauczyć potrafi niżeli kije na galerach.

— Tak jest, panie, odpowiedziała pani Enambuc z smutną powagą, sprawiedliwość musi panować, lecz sprawiedliwość dla wszystkich. W pewnych przypadkach mogą zastawieni, a nawet niewolnicy udawać się do mnie; ja muszę ich bronić, jeżeli panowie ich za srogo się z niemi obchodzą, i nie odmówię żadnemu mojéj opieki.

— Dotychczas, rzekł hrabia zimno, ani jeden nie zgłosił się do pani.

Pani Enambuc spojrzała mu w oczy i rzekła:

— Kto wié! o tém jestem przekonana że nie wszyscy ci, którzy do mnie się udają, dostać się mogą.

Uśmiech krążący na ustach hrabiego znikł nagle; spojrzał na Marją niespokojnym wzrokiem; ona była smutną, lecz wyraz jéj twarzy nie zdradzał bynajmniéj żadnéj, ukrytéj myśli, ani też nienawiści tajemnéj. Obawa hrabiego znikła więc wkrótce i odpowiedział spokojnie:

— Wszystkie prośby i zażalenia na piśmie są pani oddawane; pani dyktujesz odpowiedzi i podpisujesz je własnoręcznie; prawdziwie, więcéj pani już czynić nie możesz, chyba tylko, równie jak Ludwik święty, musiałabyś pani na otwartém polu, pod drzewem, dawać audjencje swoim poddanym i słuchać ich zażaleń.

— Takbym czynić powinna, aby zapobiedz nadużyciom jakie dzieją się w mojém imieniu, odpowiedziała krótko powstawszy.

Loinvilliers zadrżał tajemnie i spojrzał jeszcze raz na panią Enambuc, badając wyraz jéj twarzy.

— Panie hrabio, mówiła daléj w swoim zwykłym smutnym tonie, interesa na dzisiaj już ukończone, udam się do salonu.

— Jeszcze o jednę chwilę śmiem upraszać, łaskawa pani, rzekł Loinvilliers z powagą i nie akiém wzruszeniem, którego ukryć zupełnie nie potrafił, błagam o to posłuchanie dla siebie samego.

Pani Enambuc zbladła usłyszawszy te słowa, lecz wkrótce nabrała odwagi i oczekiwała z zimną krwią na oświadczenie, które przewidywała i kiedy obawiała się od dawna.

— Mów pan, rzekła pewnym głosem siadając naprzeciwko hrabiego, słucham pana.

Loinvilliers nie mylił się pod względem uczuć Marji dla siebie; wiedział że ona niechętną była dla niego, który kochał ją tak namiętnie; wiedział że się go obawiała i że

dla pozbycia się jego wpływu, wezwała na pomoc innego człowieka, którego może kochała; lecz wiedział także i to, że on potrafił uwolnić się już od tego rywala, i rachował na swoje przeważne położenie iż będzie mógł przezwyciężyć ten opór, którego się spodziewał.

— Łaskawa pani, rzekł zbliżywszy się do Marji siedzącéj w postawie zimnéj i nieruchoméj, ze spuszczonemi oczyma, mam zamiar mówić z panią dzisiaj w przedmiocie, o którym wspominać dotychczas przyzwoitość mi zakazywała. Bogu tylko wiadomo ile to mię kosztowało, żem cały rok milczéć musiał, lecz nadeszła przecie chwila, w któréj mogę upomniéć się o prawo, jakie nadał mi zmarły mąż pani, którego wola dla pani pod każdym względem tak świętą była.

— Jakie prawa, panie hrabio? przerwała niespokojna Marja z zadziwieniem, Bóg jest moim świadkiem, żem nic nie przyrzekała...

— Ja to wiem, łaskawa pani; nie wymagam też spełnienia obietnicy danéj przez panią, chcę tylko przypomniéć pani co się działo przed rokiem, kiedy jenerał na swém łożu śmiertelném przywołał mnie do siebie. Pani pamiętasz ów pokój, w którym łkania tylko słychać było, to miejsce, gdzie pani siedziałaś, a gdzie ja panią widzę jeszcze siedzącą. I ja tam byłem także; jenerał bliski śmierci podał mi swoję rękę i rzekł; Loinvilliers, przez czas małoletności mojego syna będziesz rządził, zachowasz dla niego jego dziedzictwo, i kiedyś zaślubisz pozostałą po mnie wdowę.

— Panie hrabio, zawołała pani Enambuc podniosłszy się z krzesła i stawając przed portretem jenerała„ panie hrabio, Bóg cię słyszy!

— Bóg i on, którego szanowny obraz tu widziemy, odpowiedział Loinvilliers zwracając

się również ku portretowi, nikt świadkiem nie był tego, co dopiéro wyrzekłem, lecz przysięgam, jakem chrześcjanin i szlachcic, że to jest prawdą; czyliż to nie dosyć aby usunąć wszelkie powątpiewanie...

— Wierzę panu, rzekła Marja w połowie stłumionym głosem, nie spuszczając z oka portretu jenerała, wierzę panu. — Mój Boże! ten, który był zawsze tak sprawiedliwym i mądrym, pobłądził jednakże raz jeden.

Loinvilliers raczéj odgadł ostatnie słowa, niżeli mógł je słyszéć; gorszki uśmiech wzruszył jego usta, a oko zaiskrzyło się pod długiemi jego rzęsami; zdołał jednak panować nad sobą i rzekł spokojnie:

— Dopóki trwała żałoba. twoja, pani, musiałem milczéć i moje uczucia i nadzieje jedynie przez moje postępki okazywać. Pani mogłaś mnie rozumiéć i odgadnąć cel, do którego dążyłem.

— Tak jest, panie hrabio, przerwała, ja to przewidziałam iż wkrótce będę musiała wybiérać między dwiema ostatecznościami, i że pan zostaniesz albo moim drugim małżonkiem, albo téż śmiertelnym nieprzyjacielem.

Loinvilliers skłonił się i mówił daléj: — Pani znasz moję rodzinę i mój majątek, one odpowiednie są zaszczytowi, o jaki się ubiegam, i którego godnym mnie być uznał zmarły pani małżonek. Wiesz pani teraz jego ostatnią wolą i prawa, które on na mnie przelał; — oczekuję więc odpowiedzi.

— Nim ją dać panu będę mogła, muszę zebrać pierwéj myśli moje i pomodlić się do Boga, rzekła Marja powstając, jutro, panie hrabio, jutro będziesz wiedział moje postanowienie.

Te ostatnie wyrazy wyrzekła w takim tonie, że Loinvilliers mało mógł miéć nadziei; lecz nie okazał po sobie ani gnie-

wu, ani zniechęcenia; podał raczéj rękę pani Enambuc ze spokojném z siebie zadowoleniem, aby jéj towarzyszyć do salonu, gdzie oczekiwał na nią jéj dwór mały.

IV.

W dwie godziny późniéj weszła Marja do swego sypialnego pokoju, wspiérając się na ręku doktora Janson; a za nią dwanaście niewolnic, którym zaraz oddalić się kazała. Tylko Palida pozostała i usiadła przy drzwiach.

— Mój Boże, ileż cierpień! rzekła pani Enambuc upadając na krzesło bambusowe, przy nogach jéj łóżka stojące, jest coś w powietrzu takiego, jakby para gorąca, która mię wskróś przejmuje i nabawia ciągle gorączki.

— Gorączka niespokojności i zmartwienia, mruknął doktór kładąc swe długie, kościste palce na ręku młodéj kobiéty, która wsparła swą osłabioną głowę na poręczy krzesła.

Zupełne milczenie panowało w obszernych murach zamku, gdy tymczasem zewnątrz huczała burza z wściekłością; morze uderzało z głuchym szumem o podnóże wałów, a spienione jego bałwany tworzyły niejako obszerny obrus, który rozwijał bezprzestannie swoje srebrzyste fałdy w ciemności nocy.

Pani Enambuc przysłuchywała się temu wzburzeniu żywiołów i rzekła z przeciągłém westchnieniem: — Na szczęście, ani jeden człowiek nie znajduje się na tém straszliwém morzu w niebezpieczeństwie; biédni lu-

dzie mieszkający po brzegach, są tutaj, w bezpiecznem miejscu. Jak burza przeminie, nie dojdzie do nas wcale smutna wiadomość o wydarzonych nieszczęściach. Ale jakże ta noc długą mi się wydaje; nie będę spała.

— Skosztuj pani tego kilka kropel, rzekł doktór podając pani Enambuc filiżankę stojącą przed nim na srebrnym talérzu; pani wiész że ten napój uspokajający nie raz zpowodował dla pani kilka chwil snu wzmacniającego.

Napiła się cokolwiek i odsunęła zaraz potém filiżankę mówiąc:

— Nie wiem sama, co się we mnie dzieje; jakbym przeczuwała jakie nieszczęście; dusza moja dręczona natłokiem marzeń, a serce bije mi gwałtownie... Lękam się doktorze, proszę cię pozostań przy mnie.

— Ja nie opuszczę panią, odpowiedział z ujmującą troskliwością, nabierz odwagi łaskawa pani i przyzwiéj na pomoc swój zdrowy

sposób myślenia. Myśl pani raczéj o rzeczywistych, grożących ci niebezpieczeństwach. Ja poważyłem się kazać poprosić proboszcza z Tertre; on przyjdzie, pani pokładasz w nim przecie zupełne swe zaufanie.

— Tak, to jest pobożny i światły człowiek, jego napomnienia nie raz przyniosły mi pociechę i on zna głębokie, tajemne cierpienia mojéj duszy. Jego słowa uspokojo moje sumienie i wleją we mnie siły i nadzieję w Bogu, czego mi prawie zupełnie teraz brakuje; bądźcie obadwa mojemi doradcami. Wskażcie mi słuszność, prawdę i mój obowiązek, gdyż ja zwątpiłam o sobie.

Doktor ścisnął w milczeniu rękę, którą mu pani Enambuc podała. Młoda kobiéta powstała potém i zaczęła chodzić zwolna po pokoju; niespokojność umysłu zniewalała ją do tego ruchu, chociaż siły jéj zaledwie wystarczały. Przechodząc koło zwierciadła, zatrzymała się i rzekła ze słabym uśmiechem: Jezus-Marja, wyglądam jak trup!

W istocie, znikła już owa Marja świéża i pełna życia. Pogodny wyraz jéj twarzy ustąpił miejsca smętnemu zamyśleniu i jednostajna bladość powlekła jéj policzki, na których niekiedy tylko pokazywała się chwilowo czerwoność. Tylko oko jéj jeszcze posiadało całą swą potęgę i błyszczało rzędumnie z pod długich, czarnych rzęsów.

Nagle zwróciła głowę do okna i rzekła:

— Doktorze, czy słyszałeś? straż odezwała się wielkiém podwórzu.

— Tak jest, ponieważ ujrzała proboszcza przechodzącego, odpowiedział doktór.

— Dla czegóż on wśród takiéj niepogody przechodzi przez podwórze?

To mówiąc przystąpiła do okna i wyjrzała. Deszcz padał strumieniami z czarnych, błyskawicami niekiedy rozdartych chmur, a latar-

nia wisząca przed drzwiami, rzucała światło migające na żołnierza stojącego na warcie, który przechodził się równym krokiem tam i napowrót. W wielkiém podwórzu prawie zupełnie ciemno było, lecz opodal widać było sklepione drzwi oświecone czerwoném światłem.

—Ludzie są w kaplicy, rzekła pani Enambuc zdziwiona, drzwi są otworzone i widzę światło.

— Już jest północ, rzekł doktór, a o téj godzinie właśnie kapłan z Tertre mszą odprawia; może on chciał téj nocy odbyć nabożeństwo w kaplicy.

Gdy słów tych domawiał, drzwi od kaplicy roztworzyły się zupełnie i na progu stanął mężczyzna; jego wysoka postać odbijała się na jasném tle, jak czarny posąg i pozostał w téj postawie przez minutę, z ręką wspartą o kamienną kolumnę, jakby zupełnie życia pozbawiony.

— Mój Boże! zawołała Marja z nagłém wzruszeniem, ten cień podobny do niego! —

Poznaję ten wzrost — włosy... Ach, Boże! to jest Maubray?!

W téj chwili drzwi kaplicy zawarły się i wszystko znikło; zroszone łzami oko Marji długo jednak zwrócone było na to miejsce.

Proboszcz z Tertre wszedł do sypialnego pokoju Marji; był to zakonnik reguły Sgo. Jakóba, człowiek rozsądny, doświadczony i z mocnym charakterem. Od dziesięciu lat pozostawał jako missjonarz w osadach, i zjednał sobie w tym trudnym zawodzie znakomitą sławę i znaczenie.

— Mój ojcze, rzekła pani Enambuc wzruszonym głosem, zbliżając się do niego, czy wiész że ludzie są w kaplicy?

— Ja wiem to łaskawa pani, odpowiedział uśmiechając się, pani ofiarowałaś gościnne przyjęcie dla tylu osób na dzisiejszą noc, że już nie wiedziano gdzie ich pomieścić. Magazyny i dolne sale są zapełnione, gdyż sprowadzono tutaj wiele towarów. Kiedy pomieszczono osadników i ich zapasy, nie było już miejsca dla negrów i zastawionych;

natenczas ja poradziłem kapitanowi gwardji ażeby czarnym kazał spać w stajniach, a białych sam zaprowadziłem do kaplicy z któréj wyniosłem Śty. Sakrament. Tam oni przepędzą noc dzisiejszą; czyliż to nie słuszna rzecz, że ci, którzy są bez opieki, spać będą w domu Boga?

— Zastawieni są więc tam na dole? rzekła półgłosem pani Enambuc, któréj niespokojność zmniejszyła się nagle, — to więc było złudzenie. Ach, jego obraz ciągle widzę przed mojémi oczami.

Nastąpiło krótkie milczenie, potém pani Enambuc mówiła znowu daléj:

— Mój ojcze, potrzebuję twojéj rady; przewodniczyłeś mi nieraz w boleśnych chwilach mojego życia, wspomagaj mnie i w tém nowém mojém zmartwieniu; — czego się obawiałam, stało się.

Potém opowiedziała mu swoję rozmowę z hrabią Loinvilliers i wspomniała o oświadczeniu tyczącém się jéj małżeństwa, które nazajutrz odrzucić gotową była.

— Mój ojcze, rzekła wkońcu, jestem przekonaną że pan Loinvilliers prawdę powiedział, lecz moje sumienie nie wkłada na mnie obowiązku, abym posłuszną była téj ostatniéj woli, tak straszliwéj dla mnie... Ten, który króluje na niebie, patrzy w moje serce i nie potępi mnie.

— Moja córko, odrzekł duchowny poważnym i smutnym głosem, to nie jest wcale przedmiotem sumienia; przed Bogiem jesteś pani uniewinniona, lecz hrabia Loinvilliers potrafi nakłonić wolą pani prawem mocniéjszego. On wié, jak może zmusić panią do tego związku. Pani nie wiész wszystkiego co się tutaj dzieje, nie widzisz niebezpieczeństw, które ci grożą. Jest w kolońji bardzo wielka liczba osób nieprzychylnych pani, którzyby radzi byli zmienić teraźniejszy stan rzeczy, aby przy zaprowadzeniu nowego porządku w osadach osięgnąć mogli osobiste korzyści. Ci ludzie lękają się tylko hrabiego Loinvilliers i jego przybocznéj straży, nazwanéj gwardją hiszpańską; oba-

wiają się także barona Loinvilliers z Poincy gubernatora na wyspie St. Christophe, który w razie potrzeby wspomógłby swego siostrzeńca kilkoma uzbrojonemi szalupami. Ta okoliczność stoi tylko na przeszkodzie ich zamiarom; pamiętają oni dobrze, w jaki sposób hrabia pomścił się za panią na karaibach, i wiedzą że równie nie przebaczyłby chrześćjanom jak i poganom. Gdyby on jednak przestał być zastępcą pani, oni podnieśliby głowę, a nawet może zmusiliby panią do zrzeczenia się władzy.

— Nigdy, mój ojcze, nigdy, przerwała z gwałtownośćią, utrzymam prawa mojego syna i nie opuszczę tego miejsca, dopóki królowi, panu mojemu, podobać się będzie, aby ta władza spoczywała w mojém ręku.

— Łaskawa pani, odezwał się doktór, pani wspomniałaś mówiąc ze mną o przybyciu pewnéj osoby; gdyby przeciwko panu Loinvilliers można stawić kogoś takiego, któryby był równie odważny, zręczny i z mocnym

charakterem, jak on, natenczaas możnaby mieć nadzieję zniweczenia przeważnego wpływu hrabiego.

— Tak jest, gdyby Maubray przybył! rzekła pani Enambuc z przeciągłém westchnieniem żalu i gorącéj niecierpliwości, lecz on nie przybywał.

Zakonnik wiedział dobrze zapewne czego Marja spodziewała się i czego się obawiała, gdyż odpowiedział smutnie wstrząsając głową..

— Nie ma już żadnéj nadziei. Sześć miesięcy już, jak wypłynął z St. Domingo na okręcie, o którym nic już więcéj nie słyszano, trzeba nam tylko modlić się do Boga za spoczynek duszy jego.

Pani Enambuc zadrżała; potém rzékła spuszczając głowę, jakby oddała się na wolą Boga, tak jest, już po wszystkiém!

Zakonnik zaczął jéj znowu przedstawiać niebezpieczeństwo jéj położenia, i korzyści niezmierne jakie wynikłyby z jéj małżeństwa z hrabią Loinvilliers. Doktór przyłączył się

do spowiednika, i obadwa, przejęci równą obawą, jednakowe rady dawali. Nieszczęśliwa kobiéta długo się opiérała, nareszcie przyrzekła, że nie da zupełnie odmownéj odpowiedzi hrabiemu, lecz że owszem, pozostawi mu nawet nadzieję. Jéj doradcy opuścili ją dopiéro późno w nocy. Odchodząc rzekł zakonnik do doktora Janson:

— Chwała Bogu! żeśmy potrafili przekonać tę kobiétę. Powzięte przez nią postanowienie uratuje dziedzictwo dla jéj syna i zapewni spokojność kolonji.

— Tak jest, mój ojcze, lecz może opłaci je życiem, odpowiedział doktór.

Nad ranem wiatr nagle ustał, chmury nagromadzone rozproszyły się, i wkrótce zajaśniała na widokręgu promieniejąca tarcza wschodzącego słońca. Niebo ukazało swój czysty błękit, najmniejsze tchnienie wiatru nie wzruszało powietrza; tylko morze wyrzucało jeszcze hucząc olbrzymie bałwany na wybrzeże. Zabudowania wewnątrz mało ucierpiały;

pola zasiane trzciną cukrową zieleniły się jeszcze, a banany roztaczały swe szerokie, żółtawo zielone liście nad strzechami chat murzyńskich; lecz po brzegach burza rozrzuciła liczne ślady zniszczenia.

Równo ze dniem, nagły ruch zapowiadał że wyruszyć mieli ci, którzy znaleźli schronienie w zamku. Pani Enambuc spała jeszcze; lecz przebudził ją ten zmięszany hałas głosów ludzkich i kroków.

— Palido! zawołała podnosząc się, Palido!

Niewolnica stanęła przy nogach łóżka.

— Czy słyszysz, mówiła Marja, negrowie i zastawieni oddalają się; ja chcę dać tym ludziom jałmużnę; podaj mi woreczek.

Palida przyniosła woreczek z czarnego aksamitu, w którym znajdowała się garść *talarów*.

— Daj im wszystko, rzekła pani Enambuc, niech się podzielą; nie chcę rachować pieniędzy ubogim.

Palida otworzyła napół okno i zawołała wyrzucając woreczek na podwórze: — nasza łaskawa pani przeznacza to dla niewolników i zastawionych, niech się podzielą. Schowała natychmiast głowę i zamknęła okno nie zważając na tych, którzy cisnęli się do téj szczodréj jałmużny.

—Niech żyje nasza mała królowa! zawołało wiele głosów na podwórzu. Potém dał się słyszéć trzask kilku biczy i wkrótce powróciło milczenie i porządek.

Kiedy nadeszła godzina nabożeństwa, wstała pani Enambuc, aby się udać do kaplicy. Jak zwykle, towarzyszyło jéj wiele osób. Przed drzwiami domu Bożego oczekiwał hrabia Loinvillers; pozdrowił ją w milczeniu, podał wodę święconą i odprowadził na zwykłe miejsce. Kaplica w zamku St. Pierre ozdobiona była z prostotą godną piérwszych czasów chrześćjaństwa. Nie widać

tam było ani złoceń, ani obrazów, ani kosztownych robót snycerskich; lecz co dzień w obfitości znoszono kwiaty i liście, najpiękniejsze dary ziemi. Ołtarz otoczony był gałęziami pomarańczowemi i palmowemi liściami, a po prawéj stronie jego stała ławeczka pani Enambuc.

Marja uklękła i wsparła głowę na pulpicie ławeczki. Stojący obok hrabia Loinvilliers rzucał na nią namiętne spojrzenia. Ona zakryła twarz swoję książką do nabożeństwa,i hrabia widziéć mógł tylko jéj k ztałtną, białą szyję i długie włosy, które w pięknych lokach zpadały z pod jedwabnéj siatki; lecz on odgadł łzy, jakie wylewała w skrytości i serce jego zadrżało okrutną radością, gdyż widział że ona już uległa, i że płacze sama nad sobą.

Pani Enambuc w istocie zalała się łzami, gdyż utrzymująca ją dotąd ostatnia,tajemna nadzieja już znikła. Jeszcze poprzedzającego dnia oczeki ała, miała w swojém sercu jeszcze cień ufności i odwagi; lecz ten cień

nawet znikuął nagle. Opłakiwała śmierć Maubraya i z przerażeniem słuchała szumu morza, którego głębie pochłonąć go musiały. Kapłan z Tertre stał przy ołtarzu; przytomni modlili się w milczeniu; nawet doktór Janson ukląkł na oba kolana i odmawiał pobożne modlitwy. Marja nie ruszyła się przez całą mszę; dopiéro po skończeniu nabożeństwa powstała, i oczy jéj przypadkowo zwróciły się na białą ścianę, na któréj świeżo popisane były głoski węglem. Głoski te składały prawie nieczytelny wyraz, który Marja jednak odgadła; gdyż wypuściła z rąk książkę do nabożeństwa i upadła znowu drżąca na kolana, ze łzami w oczach i sercem pełném zadziwienia i przestrachu; ona przeczytała na ścianie nazwisko Maubray. Nie mogła oderwać oczu od tych niekształtnych głosek skreślonych, jak się zdawało, niepewną ręką, wśród ciemności. Jakim sposobem to nazwisko wszystkim naokoło nieznane, mogło się tam dostać?

Dla czego jéj przedstawiano je przed oczy w téj chwili? Czyli to było ostrzeżenie, czyli téż zarzut? — Gubiła się w domysłach; lecz o tém zaraz z paczątku była przekonana, że z zastawionych tylko jeden mógł to nazwisko napisać, to jest ten, którego widok napełnił jéj serce niespokojnością, nadzieją i śmiertelną trwogą. Lecz dla czegóż taka tajemnica? Dla czegóż nie była zaraz uwiadomiona o losie Maubraya, jeżeli jeden z tych nieszczęśliwych wiedział co się z nim stało? Dla czego nie starano widzieć się z nią osobiście i zwierzyć jéj wszystko?

Kiedy Marja zatopiona w takich myślach, klęcząc ciągle miała oczy wlepione w to pismo, Loinvilliers blady i nieruchomy, z szczególnym wyrazem zadziwienia i niechęci, spoglądał w to samo miejsce. On również przeczytał to nazwisko. W chwilę później wyszedł. Pani Enambuc pozostała jeszcze przez kwadrans w kaplicy, dla zebrania myśli i przedsiewzięcia środków, za

pomocą których mogłaby dociec prawdy i dowiedzieć się jakim niepojętym przypadkiem to nazwisko przedstawione jéj było niespodzianie przed oczy. Kiedy nareszcie wyszła wraz z swoim małym dworem, spotkała przed drzwiami kaplicy pana Loinvilliers rozmawiającego krótkim i rozkazującym tonem z swojemi ludźmi:

— Ricio, rzekł do jednego z nich, olbrzymiéj postaci, idź natychmiast do wszystkich mieszkańców, których zastawieni przepędzili tę noc w kaplicy, i rozkaż im w mojém imieniu aby natychmiast przysłali tych ludzi tutaj. Muszę wybadać, któren z nich ośmielił się napisać swoje nazwisko na ścianie domu Bożego. Jakem chrześćjanin, odpokutuje on mi za to!

— Panie hrabio, przerwała pani Enambuc, która właśnie nadeszła, ja sama chcę wypytać się tych nieszczęsliwych.

— Będą stawieni przed panią, odpowiedział hrabia spokojnie, czy pani ma jeszcze inne jakie rozkazy udzielić?

— Po chwili, — pójdź pan ze mną, rzekła Marja powodowana niedowierzeniem, obawiając się ażeby Loinvilliers nie wypytał się pierwéj sam zastawionych.

Hrabia podał jéj rękę i odprowadził do pokojów, nie okazując najmniejszego zakłopotania, ani też obawy; oczy jego zwracały się jednak często ku drzwiom, i dwa albo trzy razy przystępował do okna aby zobaczyć, co się dzieje na podwórzu. Pani Enambuc siedziała w audjencjonalnéj sali, czoło wsparłszy smutnie na ręku, i oczekiwała z przykrą obawą na wyjaśnienie tajemnicy, która jéj objawić miała los Maubraya; nie zważała nawet że hrabia był przytomny, który chodził zwolna po sali tam i na powrót, nie mówiąc ani słowa.

Po upływie godziny przybył Ricio z zastawionemi. Wchodząc rzucił znaczące spojrzenie na swego pana i wzruszył ramionami

Hrabia uśmiechnął się lekko, krew wystąpiła mu znowu na twarz, zdawał się wolniéj

oddychać i spojrzał na panią Enambuc z dziką radością. Zastawieni stali z trwogą przed drzwiami. Ci biédni ludzie opaleni od słońca byli w połowie nadzy. Ich powierzchowność smutniejsza była i okropniejsza niżeli negrów; z ich rysów wyczytać można było cierpienia duszy głębsze niżeli u niewolników. Marja Enambuc rzuciła na nich szybkie lecz badawcze spojrzenie; wszystkie twarze były jéj nieznane. Znikła więc znowu słaba nadzieja, która przez krótki czas gościła w jéj sércu, i Marja rzekła sama do siebie: — Co za nierozsądna myśl! to było niepodobieństwem!

— Przystąpcie bliżéj, rzekł hrabia surowo do tych nieszczęśliwych.

Zastawieni przystąpili ze drżeniem i rzucali błagające spojrzenia na panią Enambuc. Oni lękali się, chociaż nie wiedzieli o co ich obwiniano, gdyż przekonani byli bardzo dobrze, jak srogie kary ich najmniejsze przewinienia za sobą pociągały.

Pierwsze wyrazy pani Enambuc uspokoiły ich zupełnie.

— Kochani ludzie, rzekła łagodnym głosem, jeden z was zgrzeszył przeciwko Bogu, gdyż napisał światowe imie w miejscu świętém. Kazałam wam tutaj przyjść ażebyście wymienili winnego. Przyrzekam mu naprzód przebaczenie; on za karę odcierpi tylko pokutę, jaką mu kapłan naznaczy. Niechaj więc ten, który pobłądził, sam się przyzna i da tém samém dowód swojego żalu.

Zastawieni spoglądali na siebie z zadziwieniem, i żaden nie odpowiedział.

— No cóż! mówiła daléj pani Enambuc równie łagodnym tonem, milczycie? — przecież ja obiecałam zupełne przebaczenie? Czyli przyzna się winny?

Wszyscy milczeli i uniewinniali się przeczącemi gestami. W końcu wystąpił jeden z nich, upadł przed panią Enambuc na kolana,

i rzekł pokornym tonem: — przebacz łaskawa pani, tym razem nie jesteśmy winni w istocie; żaden z nas nie potrafi przeczytać swojego nazwiska, a tém bardziéj napisać.

— Żaden więc z was nie napisał nazwiska Maubray na ścianie kaplicy, przerwała pani Enambuc ze wzruszeniem.

— Żaden z nas, na zbawienie mojéj duszy!

Po tém prostém, lecz stanowczém oświadczeniu, Marja spuściła głowę smutnie i dała im znak aby się oddalili; kiedy już wszyscy wychodzili, ten, który mówił w imieniu swoich towarzyszy, zatrzymał się i rzekł do jednego z nich:

— Niechaj Bóg mi przebaczy, ja może mimowolnie w błąd wprowadziłem naszą panią. Téj nocy był jeden pomiędzy nami, za którego ręczyć nie możemy, ten wysoki majtek, którego przywiózł kapitan Baillardet z wyspy St. Christoph. On przez cały czas ust nie otworzył i nim dzień zajaśniał, cho-

dził po dziedziéńcu, jakby najpiękniejsza była pogoda.

— Daléj, naprzód! krzyknął Ricio popychając tego człowieka drzewcem swojéj piki, naprzód! albo na krew pana Jezusa!! wsadzę ci na cal pod skurę ostrze mojéj dzidy.

Loinvilliers pozostał przy pani Enambuc. Ona zamyśliła się na chwilę, potém rzekła z wytrwałością zawiedzionéj nadziei: — Kaplica otwarta od rana; bezwątpienia wszedł jakiś obcy i napisał to imie; trzeba go wynaléźć; ja muszę wiedziéć prawdę.

— Zdarzają się niepojęte wypadki, odpowiedział hrabia zimno.

Marja wstrząsnęła głową i nic nie rzekła.

— Prawdziwie, tak mało znacząca okoliczność nie powinnaby panią tyle zajmować, mówił daléj Loinvilliers. Cóż takiego być może w tém nazwisku? Zapewne jaki biédak napisał je na ścianie jakby votum. Jeżeli pani nie chcesz go ukarać, zdaje mi się że

zbytecznemi byłyby wszelkie dalsze poszukiwania.

Marja spojrzała na hrabiego niespokojnie; zdawało jéj się jakby naigrawanie przebijało się w jego wyrazach, a szczególniéj w jego rysach; lecz on dodał zaraz spokojnym tonem, który ją uspokoił:

— Jednakże w tym razie, równie jak w każdym innym, wola pani wykonaną zostanie; jeżeli sobie pani życzy, można zwołać tutaj wszystkie osoby, które umieją nazwisko swoje napisać. Liczba ich nie jest wielka, gdyż poddani twoi, łaskawa pani, nie są w ogólności uczeni.

— Pan żartujesz, przerwała z obrażoną dumą.

— Broń Boże! odpowiedział z powagą, równie mnie, jak i panią ważniejsze myśli zajmują; względem wczorajszéj naszéj rozmowy miała mi pani jeszcze cóś do powiedzenia.

— Panie hrabio, rzekła Marja przykładając rękę do swego białego, gorącego czoła,

myślałam przez całą noc i modliłam się, jednakowoż..... Nie, nie mogę panu odpowiedzieć. Potrzebuję jeszcze krótkiéj zwłoki...

— Będę oczekiwał, odparł Loinvilliers spokojnie.

To powiedziawszy ukłonił się i odszedł. Pani Enambuc przepędziła resztę dnia w o-okropnéj niepewności i wachaniu się; wszystkie poszukiwania, które czynić kazała, bezskutecznemi okazały się, i rzekła w końcu, równie jak hrabia Loinvilliers, zdarzają się niepojęte wypadki. Tego samego dnia jeszcze, wieczorem, rozszerzyła się pogłoska że jeden z zastawionych zadał swojemu panu dwa pchnięcia nożem, i hrabia doniósł o tém pani Enambuc.

— Dzisiejszego dnia, mówił on, waleczny marynarz, kapitan Baillardet zraniony został przez jednego z swoich ludzi, którego przywiózł z wyspy St. Christophe. Zbrobnia ta nie może ujść bezkarnie; trzeba dać przykład.

— Wyrok śmierci! przerwała Marja pomięszana, to byłby piérwszy, od czasu jak ja rządzę...

— Sprawiedliwość musi iść swoim biegiem; kto zabija, musi odnieść karę śmierci.

— Lecz ten nieszczęśliwy nie dokonał przecież swojéj zbrodni; pan mówisz tylko o zranieniu.

— Tak jest; lecz tu chodzi o zastawionego, który podniósł rękę na swojego pana. Gdyby go się tylko dotknął, musiałby wisiéć. Ten przykład konieczny jest dla utrzymania porządku w osadach, dla spokojności kolońji, i naszego własnego bezpieczeństwa. Niewolnicy i zastawieni drżą przed mieszkańcami wolno mieszkającemi, do których należą; lecz ich jest pięćdziesiąt na jednego. Cóżby się z nami stało, pani, gdyby ich nie wstrzymywała bojaźń kary.

— Tak jest, ja wiem to, że tu dla winnego trzeba być bez miłosierdzia, że mu przebaczyć nie można, odpowiedziała pani Enambuc ze smutném przekonaniem, lecz ja nie

podpiszę mojego imienia na wyroku śmierci. Pan to możesz uczynić, jako mój zastępca. Jutro już odjeżdżam do Vauclain. Niech sprawiedliwość będzie wypełnioną! — Powrócę dopiéro wtenczas, kiedy już wszystko będzie skończone.

podpiszę mojego imienia na wyroku śmierci. Pan to możesz uczynić, jako mój zastępca. Jutro już odjeżdżam do Vauclain. Niech sprawiedliwość będzie wypełniona! — Powrócę dopiéro wtenczas, kiedy już wszystko będzie skończone.

V.

W owym czasie znajdowało się w środkowéj części wyspy kilku tylko osadników, których kolonje przedzielone od siebie nieprzebytemi lasami i głębokiemi parowami, służyły jedynie za stanowiska w czasie podróży po tym odludnym kraju. Im bardziéj

oddalano się od zachodnich brzegów, pustynie te przybierały coraz posępniejszy widok; nie można tam było znaleźć już śladu pracy ludzkiéj; była to nieurodzajna, lecz wspaniała okazałość stepów, w całéj ich dzikiéj piękności.

Pani Enambuc wybrała się w drogę z licznym orszakiem do przylądku Vauclain; dwunastu silnych negrów, mieniając się co godzina, niosło ją w lektyce. Doktór Janson i zakonnik z Tertre jechali obok niéj na spokojnych mułach; służące towarzyszyły jéj na koniach, a za temi czarnemi amazonkami szło 30 niewolników z pakunkiem. Kompańja gwardji kończyła ten orszak naprzód zaś szło dwóch przewodników. Marja spoczywając prawie w leżącéj postawie za firankami lektyki, z swém piękném dziécięciem na kolanach, podobna była do owych gnuśnych księżniczek, którym ludy indyjskie

tarzając się w prochu oddają cześć z daleka; była smutną, bezsilną i piękną jak owe ukoronowane niewolnice sułtanów. Czarni zgromadzali się i wołali: » niech żyje nasza łaskawa pani” Wszędzie milicja stawała pod bronią, a osadnicy przez których posiadłości przebywała, zgromadzali się aby złożyć jéj swój hołd i dary. W drugim dniu podróży znajdowała się już w pustyniach dawniéj zamieszkiwanych przez karaibów, dokąd jeszcze nigdy żaden europejczyk nie dostał się.

Karawana przeciągała zwolna po tych wielkich stepach i lasach, gdzie nie było innych dróg, jak tylko wyschłe łoża strumieni. W nocy rozbijano szałas, i pani Enambuc spała z swoim synem pod dachem z liści. Roztargnienia podróży rozweseliły ją, jak to doktór przewidział, widok uśmiechającéj się natury uspokoił jéj umysł, a ponure cierpienie zamieniło się w spokojną i słodką melancholję. Zapomniała o troskach teraźniejszości i dręczącéj obawie o przyszłość;

niepewna nadzieja wstąpiła w jéj serce i uczuła na chwilę nowe niejako życie krążące w swych żyłach.

Zachodzące słońce rozrzucało już tylko blade promienie na widokręgu, kiedy karawana stanęła na wzgórzach panujących nad przylądkiem Vauclin. W słowach nie podobna wyrazić zadziwiającéj piękności krajobrazu, który przedstawił się oczom pani Enambuc. W łagodnym półokręgu widziała u stóp swoich step, którego świéża zieloność przypomniała jéj łąki we Francji, daléj lasek palmowy, a w głębi ocean, niezmierny ocean, którego mętne, szumiące bałwany rozbijały się o skałę przylądka. Aromatyczne zapachy rozszerzała ta żyzna ziemia, i lekki wietrzyk poruszał gałęziami, na których ptaki jeszcze świegotały.

— Otóż jesteśmy w ziemi obiecanéj, w dolinie Hebron, zawołał zakonnik z Tertre.

— Brakuje tylko trzód i patryarchów, mruknął doktór, a negrowie, którzy pracują

tam na dole, nie podobni są wcale do ludu pasterskiego.

W istocie, 50 schylonych niewolników pod stérem dozorcy pracowało w plantacji cukrowéj i nie przypominali bynajmniéj szczęśliwych pasterzy Jakóba. Na krańcu pola, które uprawiali, stała chata osłonięta palmowemi liściami i otoczona drzewami pomarańczowemi. To było nowe mieszkanie wybudowane na tém miejscu, gdzie była dawniéj wieś karaibów.

Około niéj zaczął się tworzyć pewien rodzaj wioski, i pracowano właśnie nad wybudowaniem małego kościoła. Pani Enambuc przyjęta została przez nadzorcę, który jednak nie ofiarował jéj kluczy od swego domu, gdyż w nim nie było wcale zamków. Przez chwilę panowało zamięszanie i hałas; praca ustała i wszyscy zbiegli się aby zobaczyć małą królowę. Biédni negrowie cisnęli się z bojaźnią i ciekawością do drzwi i klaskali w ręce wśród okrzyków radości. To wzruszyło mocno Marję: piérwszy raz od tak

dawna, doznała ukontentowania; los tych nieszczęśliwych zależał zupełnie od niéj, ona mogła im dobrze uczynić. Natychmiast wydała rozkazy, które przez nadzorcę obwołane zostały i sprawiły prawdziwą radość niewolnikom. W dwie godziny późniéj znajdowała się Marja na galerji domu, która miała być jéj sypialném pokojem. Wszystkie służące oddaliły się, pozostała tylko Palida. Księżyć pogodnie świécił nad stepami, wiatr szumiał lekko po liściach palmowych, a niekiedy dawał się słyszéć w oddaleniu stłumiony, miarowy brzęk, — głos bębenka zwanego przez murzynów Tamtam, gdyż niewolnicy tańczyli nad brzegiem morza przy świetle księżyca.

— Palido, rzekła pani Enambuc podnosząc się na wiszącéj macie, czemu się przypatrujesz?

— Widzę drzewo, pod którém stała dawniéj chata mojéj matki, odpowiedziała niewolnica, jesteśmy właśnie na tém miejscu, gdzie karaiby mieli swoję wioskę.

— Czy to sobie przypominasz? Poznajesz tę okolicę?

— Tutaj się urodziłam i tu widziałam moję matkę umierającą, odpowiedziała Palida wzruszonym głosem.

— Biédna dziewczyna; rzekła z westchnieniem pani Enambuc.

Niewolnica położyła się na ziemi na posłaniu z liści.

— Ty płaczesz Palido, zaczęła znowu pani Enambuc łagodnym tonem, lecz mi powiedziałaś przecie że kobiéty są niewolnicami u karaibów, i że nawet gdybyś była wolną nie powróciłabyś do nich.

— Nie, nigdy, nie mogłabym żyć tak jak oni, rzekła z żywością, lecz żal mi ich..... kiedy wspomnę na tę rzeź okropną.... tutaj na tém miejscu wymordowano kobiéty, starców dzieci... ani śladu nie zostało z téj wielkiéj wsi; płomienie wszystko pochłonęły. Łaskawa pani, nielitościwi ludzie są równie pomiędzy białemi, jak i karaibami, równie pomiędzy chrześćjanami jak i poganami.

— Hrabia Loinvilliers! rzekła Marja Enambuc, ach, Palido, ja lękam się tego człowieka?

Zaczęła modlić się, potém rzekła z ufnością i odwagą: — moje serce jest spokojniejsze; dobrze się czuję tutaj. Palido, sądzę że piérwszy raz dzisiaj od tak dawna, spać będę spokojnie i może Bóg obdarzy mię jakiém szczęściem w dniu jutrzejszym.

To mówiąc, włożyła rękę pod głowę zmordowaną i zamknęła oczy. Palida poruszyła wiszące łoże i zaczęła łagodnie kołysać swoję panią, która wpadła wkrótce w spokojny sen. Nad ranem gwałtowne psów szczekanie obudziło panią Enambuc.

— Co to jest takiego, Palido? zapytała podnosząc się z przelęknieniem. Niewolnica wyjrzała.

— Ja nic więcéj nie widzę, odpowiedziała, jak tylko biédnego negra, który stoi tam na dole. Matko Boska! — te psy to go chcą rozerwać! On bézwątpienia nie należy do téj osady.

— Zapewne przyszedł prosić o jaką łaskę; otrzyma ją, rzekła Marja zamykając znowu oczy.

Po śniadaniu udała się Marja w lektyce na przechadzkę, w towarzystwie doktora i zakonnika, otoczona jedną częścią swéj gwardji. Kiedy przechodzili ulicą kolońji, wystąpił nagle murzyn z krzaków, w których był ukryty i rzucił się ku lektyce. Straż chciała go oddalić, lecz on śmiało przystąpił aż do pani Enambuc i składając u nóg jéj czarny, aksamitny woreczek rzekł:

— Łaskawa pani, przysyła ci to biédny, biały człowiek.

Palida podniosła woreczek i oddała go pani Enambuc, która go przyjęła z zadziwieniem.

— Co znaczy ten dar? spytała. To jest woreczek, który nie dawno dany był zastawionym z jałmużną.

To mówiąc otworzyła go. Wewnątrz był talar z wytartym piętnem, na którym napisany

był ostrém narzędziem, wyraz bardzo czytelny: Marja skoro tylko zobaczyła ten pieniądz, zerwała się ze stłumionym krzykiem. Ona powtórnie przeczytała nazwisko Maubray.

— Kto ci to dał? zapytała negra ciągle przed nią klęczącego.

— Pewien biédny zastawiony, który powieszony będzie, ponieważ podniósł rękę na swojego pana.

— Zastawiony?!—ten, który należy do kapitana Baillardet? zapytała daléj.

— Ten sam, znaleziono go w okręgu Precheux, po spełnieniu tego złego uczynku.

— Ty byłeś tam? Ty go widziałeś? Ty znasz Maubraya? zapytała zaledwie zrozumiałym głosem.

— Znam go, to jest dobry, biały człowiek. Żeglowaliśmy razem. Kiedy został pochwycony, poszedłem za nim. Przybywszy do St. Piérre żądał on aby mógł mówić z ma-

łą królową, lecz gdy mu powiedziano że wyjechała, oddał mi to, a ja przyrzekłem zanieść do naszéj łaskawéj pani.

— I już temu dwa dni! zawołała pani Enambuc z głębokiém westchnieniem; potém obróciła się do swego zadziwionego orszaku i dodała krótkim tonem. Na koń! Natychmiast na koń! — Musimy dzisiaj wieczorem być w Fort Royal. Tam wsiądę na statek i jeżeli wiatr będzie pomyślny, mogę jeszcze téj nocy stanąć w St. Pierre. Ah, mój Boże!.. może jeszcze na czas przybędę.

— Łaskawa pani, rzekł zdziwiony doktór, czy podobna abyś pani tak śpieszną podróż odbyć mogła, zwłaszcza przy tak osłabionym stanie zdrowia?. Czy pani chcesz się zabić?...

— On ma umrzéć, może nawet już nie żyje! odpowiedziała płacząc... żebym tylko na czas przybyła. — Na koń! Każcie sprowadzić przewodników... niech mi pokażą najkrótszą drogę, — wszystko zniosę, abym

tylko prędko stanęła. Muszę być tam, czy słyszycie? — gdyż inaczéj Maubray zginął!

— My panią nie opuściemy, rzekł zakonnik, natychmiast wyruszamy także.

Marja wyszła z lektyki i przyśpieszała z niecierpliwością przygotowania do podróży. Doktór pomięszany przystąpił do zakonnika i rzekł:

— W takim stanie, w jakim znajduje się pani Enambuc, tylko w towarzystwie doktora i spowiednika może podróż odbywać; to bardzo być może, że ona w drodze umrze.

— Nie trudy, ani téż cierpienia ciała spowodować mogą śmierć jéj, odpowiedział zakonnik wstrząsając głową.

W kilka chwil późniéj wsiadła pani Enambuc na konia; ta przerażająca wiadomość obudziła wszystkie jéj siły: wzruszenie okryło lekkim, gorączkowym rumieńcem jéj policzki i nadało jéj oczom więcéj blasku i życia.

— Daléj naprzód! zawołała nagle z mocą i odwagą, naprzód! Ja muszę przy Boskiéj pomocy, stanąć dzisiaj w nocy w St Pierre. Ciągle galopem i zawsze najkrótszą drogą!

Wyjechała w towarzystwie doktora tylko, zakonnika i dwóch ludzi ze straży. Przewodnicy jechali naprzód. Mały ten poczet przebywał lasy i przepaście, nie odstępując z prostéj liňji wiodącéj od stóp przylądka Vauclain do zatoki Fort Royal. Pani Enambuc wzniosła ręce z wdzięcznością ku niebu, kiedy ujrzała morze; wiatr był pomylny i można było w trzy godziny stanąć w St. Pierre.

Była szusta godzina prawie wieczorem, słońce zaszło, i wiatr dość silny wiał od strony południowo wschodniéj. Marja Enambuc siedziała w głębi barki, z czołem wspartém na rękach, i z niewymowną trwogą obliczała czas, jakiego potrzebowano do osądzenia Maubraya. Droga sprawiedliwości była krótką, w przeciągu 24

godzin proces mógł być ukończony; lecz było w zwyczaju, że po zapadnięciu wyroku, skazany na śmierć jednę noc miał jeszcze pozostawioną dla rozpamiętywania nad zbawieniem duszy swojéj; pani Enambuc mogła więc jeszcze przybyć na czas. Barka szybko była pędzona wiatrem, wkrótce zeszedł księżyc i okrył niebo swojém bladém światłem, rozpędziwszy posępny mrok, który przed chwilą osłaniał całą naturę. Wklęsłości brzegów odbiły się w wyraźnych wstęgach na ciemnym błękicie morza, i wszystkie szczegóły krajobrazu były widoczne, chociaż w słabych zarysach. Słychać było tylko szum wiatru uderzającego o żagiel i niekiedy trzeszczenie rudla. Doktór Janson i zakonnik rozmawiali z sobą po cichu, a Marja siedziała z założonemi na krzyż rękami i zpuszczoną głową, w nieruchoméj postawie. Prawie po trzech godzinach ukazały się w oddaleniu światła; zbliżano się do przystani w St. Pierre.

Księżyc świécił już tak jasno, że można było rozróżnić wszystkie przedmioty wzdłuż brzegów, i wkrótce ujrzała pani Enambuc wpływając do przystani,miejsce zwane wielką skałą. Bliska omdlenia, odwróciła się nagle sciskając za ręce niewolnicę, która siedziała przed nią, i rzekła gasnącym głosem:

— Palido, spojrzyj tam; co to jest na brzegu, pod wielką skałą?

— Jezus-Marja! krzyknęła dziewczyna, widzę szubienicę!

Marja Enambuc doznała gwałtownego wstrząśnienia, chciała patrzéć, lecz wzrok jéj zaćmił się; upadła na kolana i rzekła prawie odchodząc od zmysłów:

— Spójrzyj jeszcze raz!... Co tam widzisz na dole?... Człowieka?...

— Nie, nic więcéj jak tylko belki rusztowania, odpowiedziała Palida.

— Ach, on więc żyje! on żyje jeszcze! krzyknęła Marja. Potém wsparła się na ra-

mieniu Palidy, westchnęła głęboko i zemdlała.

W kilka minut barka przybiła do lądu przed zamkiem St. Pierre. Była już prawie 10 godzina w nocy. Pani Enamlinc przyszedłszy zaledwie do siebie, wysiadła na ląd wspiérając się na ręku Palidy i rzekła z mocą, zwracając oczy na okna zamku:

— Nie spodziewają mnie się tam wcale;ale ja tu już jestem!

Doktór i zakonnik obawiając się przykrych wypadków, chcieli ją zatrzymać i skłonić, aby pozwoliła iżby jeden z nich oznajmił jéj przybycie.

— Nie, mój ojcze, rzekła do zakonnika, ja muszę niespodzianie pokazać się panu Loinvilliers, aby nie miał ani chwili czasu do przygotowania się. Wy nie wiécie o wszystkiém, — nie — wy nic nie wiécie — ja sama nie znam tajemnicy téj okropnéj i niesprawiedliwości; — lecz ja przeczuwam już, i wkrótce się przekonam. Pójdźcie, pójdźcie — sprawiedliwość musi być wymierzoną

— przysięgam to na zbawienie mojéj duszy.

To mówiąc szła prosto do zamku. Wszyscy już spali; głębokie milczenie panowało wzdłuż brzegów, na których ani jednéj ludzkiéj postaci nie było widać. Strażnik stojący przy wejściu do głównego dziedzińca zawołał:

» Kto idzie?

— Pani i jéj orszak, odpowiedział zakonnik idący naprzód. Wszyscy weszli na podwórze; pani Enambuc przechodząc przez dziedziéniec ujrzała światło w kaplicy, a przed drzwiami kilku ludzi.

— Mój Boże, zawołała, on jest tam! Drżąc i wzniosłszy ręce z płaczem ku niebu udała się do kaplicy. Ludzie stojący przy wchodzie zastąpili jéj drogę; nikt jéj nie poznał, gdyż twarz zasłonięta była welonem.

— Héj! mój skarbie, czego tu chcesz? zapytał Ricio: czy nie wiész że tam jest człowiek, który już tylko z księdzem i katem ma

do czynienia? Nikt inny nie będzie widział się z nim téj nocy, ostatniéj w jego życiu; a zatém precz ztąd!

Pani Enambuc odsłoniła welon, spojrzała na hiszpana, który stanął jak zkamieniały, i przeszła mimo niego. Więzień sam był w kaplicy i klęczał w ławce przy ołtarzu. Łokcie miał ściśnięte sznurami i nogi tak mocno związane, że na krok nie mógł się ruszyć, ani nawet rąk nie potrafił złożyć do modlitwy. Siermięga niewolnicza pokrywała jego barki, a długie, jasne włosy spadały na tę grubą odzież; paląca się na ołtarzu lampa rzucała światło wprost na twarz jego spokojną. Kiedy Marja weszła, odwrócił głowę do ołtarza, i ona mogła zbliżyć się niespostrzeżona. Stanąwszy prawie tuż przy nim, wpatrywała się przez chwilę w niego z niewymowném uczuciem; ona rozpoznawała z głębokim żalem i najżywszą radością w sercu te szlachetne rysy, nie bardzo

zmienione, przez tyle cierpień, nędzy i upokorzenia: potém uklękła w ławce obok więźnia i rzekła po cichu zwracając się ku niemu: Maubray!

Na głos ten zadrżał, usta jego zbladły, i zawołał usiłując ręce złożyć.

— Marjo! droga Marjo! Boże! czyliż to sen!

— Ja to jestem, rzekła głosem drżącym ze wzruszenia, ja to jestem Henryku, i przychodzę aby cię uratować! Ach, chwała Najwyższemu, który mi pozwolił wczas dosyć przybyć.

Modliła się przez chwilę z oczami wzniesionemi ku niebu; potém wyciągnęła rękę ku więzniowi i rzekła: — powstań Maubray, powstań, pójdź ze mną. On podniósł się z trudnością; lecz tak był osłabiony, tak mocno związany, że zaledwie iść mógł; Marja spostrzegłszy to, wsparła go i zwracając ku niemu swe oczy łzami zalane dodała; oprzéj się o mnie, Henryku, ach ileż cierpiałeś — ale i ja także!

— Ach, Marjo, Marjo! rzekł przyciskając do swych piersi rękę, która go wspiérała. Lecz radość była zbyt gwałtowna, musiał zatrzymać się, i wlepił w Marją gasnący wzrok swój.

— Henryku! zawołała, Henryku ty bledniesz!

— To tylko chwilowa słabość, odpowiedział, ja przecież tak spokojnie oczekiwałem na śmierć... serce moje nie biło prędzéj... nie drżałem... lecz teraz nie jest mi dobrze... Ach! Marjo, to wielkie, niespodziewane szczęście przechodzi moje siły; Marjo, jestem słaby... lecz ja teraz nie mogę umiérać, ja żyć muszę... Lecz czy wiesz że ja jestem skazany na śmierć haniebną, szubienica wystawiona jest, i ta noc tylko pozostaje mi jeszcze?

— Wiem to, odpowiedziała, lecz ja już jestem tutaj.

Orszak pani Enambuc zatrzymany został na progu kaplicy; każdy oczekiwał z obawą na to, co się stać miało; ludzie pilnujący

więźnia należeli wszyscy do hiszpańskiéj gwardji hrabiego, i ustawili się po obu stronach drzwi: Pani Enambuc przystąpiła do nich z dumném i niechętném spojrzeniem, gdyż przewidywała może, że rozkazy jéj opór znajdą. Trzymając w ręku żelazny łańcuch spadający z szyi Maubraya, rzekła do hiszpanów:

— Oddalcie się, już nie macie kogo pilnować.

— Łaskawa pani, odpowiedział jeden z tych ludzi z niejakiém ociąganiem się, myśmy zaręczyli panu hrabiemu za więźnia.

— Ja biorę to na siebie, przerwała Marja, nie będziecie wcale zdawać sprawy mojemu zastępcy; oddalcie się.

Byli posłuszni. Pani Enambuc rozkazała swoim ludziom rozkuć więźnia; potém rzekła do niego: — podaj mi pan rękę i pójdźmy. Przeszli oboje przez wielki dziedziniec, i przy wejściu do pokoi ujrzeli pana Loin-

villiers zchodzącego po schodach. Ricio doniósł mu o wszystkiém, co się stało.

— Jezus, mój Zbawicielu! Szepnął zakonnik do doktora, co też się teraz stanie!...

Wszyscy weszli do audjencjonalnéj sali.

Spokojność panowała na obliczu Marji, lecz w jéj oku błyszczała niezwykła moc, i skoro hrabia ją ujrzał, przekonał się że nie tylko bronić będzie chciała Maubraya, lecz nawet pomścić się za niego.

Ona usiadła i wskazała ręką na krzesła stojące na około stołu, jakby wzywała tych, którzy jéj towarzyszyli, aby zajęli miejsca; nikt jednak nie usiadł. Pan Loinvilliers przystąpił bliżéj; twarz jego przed chwilą zdradzająca niespokojność, stała się zimną i śmiałą jak zwykle. Spojrzał na więźnia, i odwrócił potém głowę, jakby oczekiwał wyjaśnienia tego, co się stało. Zakonnik z Tertre i doktór stanęli obok pani Esnambuc, a Maubray naprzeciwko, w postawie człowieka, który zaledwie uspokoił się po owém

gwałtownêm wzruszeniu umysłu, które w odrętwienie wprawia wszystkie siły ciała.

— Panie markizie, odezwała się zwolna Marja zwracając mowę ku niemu, dzieją się takie rzeczy, które są dla mnie nie znane, i pan tylko możesz mi je objaśnić. Mów pan; jakim się to stało sposobem, że ja widzę szlachcica, jednego z najwaleczniejszych i najwierniejszych sług naszego króla w tak okropnêm położeniu? Dla czego pan w swojêm nieszczęściu nie udałeś się do mnie, jako do téj, która rządzi tym krajem?

— Ponieważ przystęp do pani był dla mnie wzbroniony, odpowiedział Maubray, ponieważ byłem ofiarą nikczemnéj niesprawiedliwości.

— Kończ pan, rzekła pani Enambuc rzucając spojrzenie na hrabiego.

— Opis takiego nieszczęścia i tylu cierpień będzie się zdawał pani niepodobnym do prawdy, mówił Maubray z goryczą. Przed

sześcioma miesiącami opuściłem St. Domingo na statku z hiszpańską flagą. Po ośmiodniowéj podróży, burza wyrzuciła nas na brzegi wyspy S. Krzystofa. Osada dostała się na ląd, lecz statek zatonął blisko brzegów, i myśmy nic więcéj nie uratowali, jak tylko życie. Biédni koloniści mieszkający na wybrzeżach wspierali nas i zaopatrzyli w żywność i suknie, gdyż nam wszystkiego brakowało. W tém okropném położeniu zdawało mi się iż winienem był się udać do gubernatora téj wyspy, barona Loinvilliers z Poincy...

— Do twojego wuja, panie hrabio? zapytała Marja pana Loinvilliers, który na to pytanie odpowiedział tylko poruszeniem głowy.

— Wymieniłem moje nazwisko gubernatorowi, mówił daléj Maubray, i ośmieliłem się odwołać do opieki pani. Dołączyłem nawet list adresowany do pani do tego listu, który napisałem do barona Loinvilliers...

Ja tego listu nie odebrałam, przerwała Marja, lecz mów pan dalej.

— Spodziewałem się odpowiedzi, mówił daléj Maubray, oczekiwałem z niecierpliwością na sposobność udania się do Martyniki, lecz nie było żadnego okrętu, żadnéj barki nawet. Tymczasem odebrałem rozkaz od gubernatora abym złożył dowody mego pochodzenia i wykazał środki wolnego utrzymania się w kolonji. Cała moja własność, wszystkie moje papiéry zaginęły przy zatonięciu statku; dowodów jakich żądano ode mnie nie mogłem złożyć, lecz dawałem w rękojmią mój honor i wiarę chrześćjanina, że powiedziałem prawdę. Nie uwierzono mi, pani!... zostałem uwięziony i osądzony bez żadnego odwołania się, jak ci złoczyńcy, ci włuczęgi, którzy przybywają do osad..... i sprzedano mię... tak jest pani, —zostałem sprzedany! Mój pan zabrał mię do swych plantacji na palmowym przylądku...

— I pan nie zaniosłeś oskarżenia przeciwko temu gwałtowi, przerwała Marja

powtórnie, nie zgłosiłeś się do mnie, ani listu, — ani jednego słowa nawet!..

— Czyliż mogłem pisać? odpowiedział Maubray z bolesném uczuciem; list? jakże go miałem napisać?—moją krwią na liściu, albo na korze? On nawetby nie doszedł rąk pani. Nie, ja nie chciałem pisać, miałem raczéj nadzieję, że będę się mógł ratować ucieczką i dopłynąć do barki, któraby mnie tutaj przywiozła... Lecz byłem ściśle strzeżony... Dwa razy schwytano mię na brzegu morza i odprowadzono do kolońji. Czy pani widzisz te rany zadane biczem dozorcy i wyciśnięte łańcuchami...

To mówiąc pokazał swoje obnażone ręce okryte ranami. Panią Enambuc dreszcz przebiegł i spojrzała jeszcze raz na pana Loinvilliers, którego usta zdawały się być przez chwilę ożywione lekkim, szyderskim uśmiechem.

— Straciłem natenczas nadzieję uwolnienia się, opowiadał daléj Maubray, byłem gotów skończyć życie w mych cierpieniach; lecz mój pan sprzedał mię kapitanowi Baillardet. Nabrałem więc znowu odwagi i nadziei; gdyż niewolnicy kapitana używani byli często jako majtkowie na wielkiéj barce, którą on przepływał z jednéj wyspy do drugiéj. W końcu przyszła i na mnie koléj; barka przybiła naprzód do Gwadalupy, potém udała się do Martyniki, i przed upływem 8 dni zarzuciliśmy kotwice w przystani St. Pierre. Wysiadłem na ląd z kapitanem pełen radości i nadziei; kiedy zdejmowano ładunki uciekłem, przybyłem pod mury zamku, i chciałem docisnąć się do pani; lecz natenczas znajdowałaś się pani zamknięta w pokojach wewnętrznych, do których nie mogłem się zbliżyć. Tymczasem stan powietrza się zmienił, wszystko zapowiadało burzę, i mieszkańcy, których magazyny znajdowały się nad brzegiem, otrzymali rozkaz schronienia się do zamku. Kapitan Baillardet sprowadził także

tutaj swoje towary, a nam dla braku miejsca przeznaczono kaplicę na tę noc za schronienie. Bardzo rano opuściłem zamek; przymuszony towarzyszyć zastawionym przechodziłem w téj chwili pod oknem, kiedy dobroć twoja pani, raczyła przynieść ulgę naszéj nędzy; dałaś pani jałmużnę; ja otrzymałem część moję, to jest dwa talary, a za jednego kupiłem pani woreczek.

— Oto jest, rzekła Marja wyciągając go z kieszeni; ach! w tém wszystkiém widać palec Boży!

— Tego dnia jeszcze rano wysłany zostałem przez kapitana Baillardet do przylądku Precheur. Ten rozkaz wydał grubijańskim tonem; poddałem się jednak z uległością, gdyż spodziewałem się że wkrótce powrócę, i sądziłem się być bliskim uwolnienia. Byłem przecież w kraju, którym pani rządzisz i uważałem wszystkie moje cierpienia za skończone; miałem nadzieję, odwagę i cierpliwość. Baillardet przybył w godzinę po mnie także do Precheur. On był konno, a przy nim

kilku negrów. Morze wznosić się zaczynało i kilka łodzi uwiązanych przy brzegu na piasku, podniosła już woda. Kapitan wskoczył w tę, która do niego należała i rozkazał mi iść za sobą. Negrowie spoglądali na siebie z trwogą i wachali się, czy mieli także wsiąść do łodzi, natenczas Baillardet rozkazał im aby wzięli się za wiosła. On chciał płynąć do Fort-Royal pomimo wzburzenia na morzu, i rzekł z okropném przekleństwem:—Musiemy z barką wypłynąćdzisiaj na pełne morze. Wtenczas spostrzegłem, że omyliła mię nadziejı ratunku i że wszystko byłoby stracone, gdybym opuścił Martynikę; postanowiłem więc raczéj umrzéć niżeli wsiąść na statek. Zacząłem uciekać; kapitan puścił się za mną uniesiony gwałtownym gniewem, i dogonił mię; wszczęła się więc walka między nami. Baillardet chciał mię zabić, o tém przekonany jestem zupełnie; broniłem mego życia i wtenczas zraniłem go. Wystrzały z pistoletu rozległy się daleko, zgromadzono się z sąsiedzkiéj kolońji, i wszyscy

robotnicy zaczęli mię ścigać. Nie wiele mię obchodziło to, czy mię dogonią; chciałem się sam poddać. Lecz moja nadzieja że będę mógł mówić z panią zniknęła wkrótce, gdyż przyszedłszy do więzienia, dowiedziałem się, że pani tego samego dnia rano wyjechała. Żądałem więc aby mnie zaprowadzono do zastępcy pani, abym mógł przedstawić mu moje położenie i usprawiedliwić się; to była moja ostatnia nadzieja, nią cieszyłem się nie wiem przez ile dni i nocy w okropném więzieniu, do którego promienie słońca nie dochodziły. Nareszcie otworzyły się drzwi; pisarz sądowy okazał się z dwuma żołnierzami i przeczytał mi wyrok; zostałem na śmierć skazany. Przeciwko wszelkim prawom i sprawiedliwości wsadzono mię do więzienia, okryto hańbą i gdyby opatrzność nie zesłała panią, zginąłbym jutro z ręki kata.

Po tych gwałtownych wyrazach nastąpiło chwilowe milczenie; potém pani Enambuc zwracając się do hrabiego rzekła z dobitnością: — No i cóż pan na to? Loinvilliers

podniósł głowę: był nadzwyczaj blady, lecz żaden inny znak nie zdzradzał wściekłości, jaka nim miotała. Postąpił krok naprzód, i bez gwałtownych gestów, bez drżenia w głosie odpowiedział zwolna:

— Kapitan Baillardet umarł z ran dzisiaj rano.

— Niechaj Bóg łaskaw będzie nad jego duszą! rzekła pani Enambuc zmięszana. Więzień wzniósł ręce ku niebu. Na polu bitwy nie jednego bezwątpienia nieprzyjaciela położył on trupem; lecz nigdy nie był w tym przypadku, aby miał zabić człowieka w pasowaniu się.

— Tak jest, kapitan Baillardet nie żyje, mówił daléj Loinvilliers zwracając się do Maubraya; on został zabity przez jednego z swoich zastawionych i pan jesteś jego mordercą. Mało na tém zależy, czém pan byłeś pierwéj; sędzia powinien mieć tylko na względzie zbrodnię spełnioną przez pana, i stan w jakim znajdowałeś się, kiedyś się jéj dopuścił; wyrok potępiający pana jest

słuszny. Do kogóż zresztą chcesz pan się odwołać? Jakiż sąd ma prawo unieważnić ten wyrok? Władza sądownicza w téj kolonji jest zupełnie niezależną.

— Pan zapominasz o mojém prawie, przerwała pani Enambuc dumnie, powstając i wyciągnąwszy rękę ku więzniowi, jakby dla udzielenia mu opieki, pan zapomniałeś o mojém najpiękniejszém prawie ułaskawienia, w razie kiedy sprawiedliwość ludzka pomyli się.

— Pani możesz bezwątpienia uratować tego człowieka od szubienicy, odpowiedział hrabia.

— Panie markizie, mówiła daléj zwracając się do Maubraya, jutro odbierzesz pan list ułaskawienia.

Maubray zgiął kolano i ucałował rękę, którą mu podała; lecz wzruszenie nie dozwoliło mu ust otworzyć. Spokojném okiem spoglądał on na śmierć,—szczęście go przemogło. Serce jego dawniéj tak silne, nie potrafiło znieść zbytecznéj radości; zadrżał

i łzy zaćmiły wzrok jego; gdyż on więcéj zyskał niżeli życie, — nadzieję, a nawet pewność że Marja go kocha. Loinvilliers zniósł to upokorzenie i tryumf swego rywala z miną obojętną, lecz nikogo nie wprowadziła w błąd ta pozorna spokojność. Zakonnik i doktór rzucili na siebie wzrok niespokojny, a hrabia skłoniwszy się w milczeniu pani Enambuc odalił się. W kilka chwil późniéj wyszedł także Maubray z doktorem. Kiedy schodzili po schodach, spotkali pana Loinvilliers, który oczekiwał na nich; kapelusz miał tak naciśnięty na oczy, że zaledwie dolna część jego twarzy była widzialną, lecz wyraz bladych i ściśniętych ust zapowiadał krwi pragnienie. Maubray spojrzał na niego z zadziwieniem; on nie wiedział dla czego mu nie chciano wyrządzić sprawiedliwości, i uważał hrabiego jako złego sędziego, nigdy jednak jako swego osobistego nieprzyjaciela.

— Panie, rzekł Loinvilliers dumnie, pani Enambuc mogła przez swą najwyższą władzę

unieważnić wyrok i uratować pana od szubienicy, lecz nie potrafi wrócić panu dobrego imienia, i w oczach wszystkich jesteś pan mordercą.

Maubray usłyszawszy tę obrazę odskoczył krok w tył i zrobił poruszenie, jakby chciał wydobyć szpadę..

— Pan nie masz broni, rzekł Loinvilliers z ironiczną pogardą, o tém zapomniałem. Pan jesteś jednak szlachcicem, mogę walczyć z panem, a więc uczynię zadosyć życzeniu pana. Maubray spoglądał na niego z większém zadziwieniem, niżeli gniewem i odpowiedział z spokojną dumą, która pomimo niewolniczego ubrania i licznych śladów cierpienia na ciele, przekonywała dokładnie z jakiéj krwi pochodził:

— Jutro, ze wschodem słońca, pod murami zamku.

— Ze szpadą?

— Tak jest, ze szpadą.

— Pojedynek! zawołał przelękniony doktór; cóż to zamierzacie moi panowie! pani Enambuc nie zcierpi aby dwóch szlachciców godziło na swoje życie.

— Tak jest, doktorze, masz pan słuszność; o tém nie myślałem, odpowiedział Loinvilliers, pani Enambuc mogłaby dowiedzieć się i przyaresztować nas aby zapobiedz pojedynkowi; lecz jest wybieg. Panie, dodał zwracając się do Maubraya, czy chcesz teraz zaraz bić się ze mną?

— Jestem na usługi, odpowiedział spokojnie.

— Wstrzymajcie się! zawołał doktór stawając pomiędzy niemi, nie możecie się bić bez sekundantów; gdyby poległ który z was, drugi byłby uważany za mordercę.

— Znajdziemy świadków, przerwał Loinvilliers, naprzód pan będziesz jednym; gdyż pan nie wrócisz na górę aby narobić hałasu; albo pan pójdziesz z nami,— albo każę pana przyaresztować mojéj gwardji.

Doktór musiał towarzyszyć dwóm przeciwnikom. Na podwórzu spotkali Ricia i kilku ludzi z hiszpańskiéj gwardji, którzy zdawali się oczekiwać na nich. Skoro wyszli za mury zamku rzekł Marubray z cicha do doktora:

— Nie pojmuję nic tego wszystkiego; taka obraza... pojedynek, w którym jeden z nas legnąć musi...! Czy ten człowiek szalony!

— Nie, nie, odpowiedział doktór, lecz on jest pańskim śmiertelnym nieprzyjacielem, on kocha panią Enambuc.

— Ach, teraz rozumiem, odrzekł Maubray. Potém zwrócił się do pana Loinvilliers i dodał z żywością; śpieszmy się, mogliby nadejść. Musiemy czas mieć do walki.

— Lecz panie, przerwał doktór chwytając za rękę Maubraya, hrabia ma przewagę nad panem; zaledwie pan możesz utrzymać się na nogach.. Żeby ten szatań-

ski człowiek dozwolił mi tyle czasu, abym mógł panu dać wzmacniające lékarstwo! W takim stanie, w jakim pan się znajdujesz, zaledwie tyle będziesz miał siły aby utrzymać szpadę.

— Bądź pan spokojny, odpowiedział Maubray ściskając za rękę doktora, jest cóś takiego we mnie, co mnię silnym czyni.

Uszli jeszcze kilka kroków, Ricio przybliżył się z dwiema szpadami i podał je panu Maubray.

— Możesz pan wybiérać, rzekł Loinvilliers zdejmując kaftan i kołniérz koronkowy. Maubray spojrzał ku zamkowi, na okna téj sali, w któréj pozostawił Marję; potém przystąpił do doktora i rzekł smutnym tonem, jeżeli polegnę, powiedz pan pani Enambuc że moja ostatnia myśl była o niéj.

W kwadrans późniéj pani Enambuc usłyszała zgiełk i odgłos kroków pod swojemi

oknami: —Znowu nieszczęście! rzekła z trwożliwém przeczuciem.

— Co robią ci ludzie na dole? zapytał zakonnik wyglądając oknem.

— Ach, czy nie widzisz mój ojcze? rzekła pani Enambuc upadłszy na krzesło i zakrywając twarz swoję rękoma ... ranny — może nie żywy! Niosą go tutaj.....

W téj chwili, wchodzi Ricio zmięszany...

— Mój ojcze, mówi, pójdź prędko, pan hrabia ranny... każdéj chwili może skonać.... pójdź spowiedzi go wysłuchać..

— On umrze? zpytała pani Enambuc przerażona, on umrze? I któż go zranił?..

— Więzień ten, który miał jutro wisiéć, odpowiedział hiszpan.

Wkrótce potém przyszedł doktór; znalazł panią Enambuc modlącą się na kolanach.

— Czy Loinvilliers umarł? Zapytała...

— Jeszcze nie, pani, odpowiedział doktór, otrzymał pchnięcie w piersi, niekiedy można się wyleczyć z takich ran.

VI.

Doktór nie zmylił się w istocie w swéj przepowiedni; hrabia wyzdrowiał, pomimo ran, które zdawały się być z początku śmiertelnemi. Zaraz po pojedynku, stosownie do jego życzenia przeniesiono go do mieszkania. Następnego dnia posłał do pani Enambuc

prośbę o uwolnienie go od obowiązków, którą ona przyjęła. Okoliczność ta sprawiła wielkie wrażenie w kolońji. Nieprzyjaciele jego, którzy go nienawidzili z powodu nieugiętéj dumy jego charakteru, zbliżyli się teraz do niego; osadnicy uważali się w obowiązku wdzięczności za to, że on praw ich bronił, i nie rozważywszy dokładnie rzeczy, ganili głośno panią Enambuc iż udzieliła przebaczenie Zastawionemu, który zabił swojego pana. Wzburzenie umysłów panowało na całéj wyspie, i najgorszych skutków można było się spodziewać. Marja była jednak spokojna. Cóż ją obchodzić mogła zemsta hrabiego Loinvilliers, cóż ją mogły obchodzić spiski i grożące jéj niebezpieczeństwa? Maubray był przecież przy niéj, i ona niczego się już nie lękała. Kiedy go widziała tak szlachetnie dumnym, tak odważnym, tak przywiązanym, odzyskała znowu tę samę spokojność, jaką czuła wówczas, kiedy zostawała pod opieką nieograniczonéj władzy jenerała.

Los Marji z wielu względów podobny był do losu księżniczki; chociaż była wolną i panią swojéj ręki, nie mogła jéj jednak ofiarować jawnie temu, którego wybrała. Pewnego razu podczas nocy zaprowadziła markiza Maubray do kaplicy, gdzie ksiądz na nich oczekiwał. Ślub ich odbył się wprzytomności tylko doktora Janson i jednego z panów będących przy dworze pani Enambuc.

Tak wszystko było urządzone, że nikt nie domyślał się zamierzonego związku; nawet niewolnice zostające na usługach pani Enambuc. Palida tylko nie spała i strzegła gabinetu swéj pani. Téj saméj nocy odbyły się inne rzeczy niemniejszą tajemnicą okryte; kiedy kapłan odprawiał ślubną mszę, odbyła się tajemnicza schadzka w mieszkaniu hrabiego Loinvilliers, który ciągłych doznawał cierpień z swéj rany i nie okazał się jeszcze w zamku St. Pierre.

Pod murami zamku znajdował się mały taras mający związek z wewnętrznemi pokojami: tam zatrzymała się Marja przez chwilę, powracając z kaplicy. Jedną ręką wsparła się na ramieniu Maubraya, a drugą wstrzymywała fałdy koronkowego welonu, który ją otaczał. Nigdy nie była tak piękną jak w téj chwili, nawet w piérwszym kwiecie swéj młodości. Bladość dodawała jéj nowych wdzięków. Wzniosła oczy pełne radości na Maubraya; oboje zajęci byli jedną i tą samą myślą o minionych chwilach swéj piérwszéj miłości.

— Henryku, rzekła, czy i tobie także cała przeszłość zniknęła z pamięci, czy i tobie zdaje się, żem ja wczoraj dopiéro wyszła z klasztoru i przysięgłam ci miłość w kościele Śgo Ludwika?

— Tak jest, kochana duszo! odpowiedział z czułością,to prawda, o wszystkiém zapomniałem... jestem szczęśliwy!...

— Szczęśliwy!... i wiecznie ze mną! rzekła wspiérając czoło na ramieniu Maubraya.

Noc była ciemna, i wiatr zachodni roznosił woń goździków z środkowéj części wyspy. Nagle zaszumiało drzewo kassjanowe, jedyne drzewo, którego zieloność ocieniała mury zamku, a jego długie strączki zaszeleściały jeden o drugi.

— Jakże tam ciemne niebo na dole, — powietrze tak parne! rzekła Marja.

— Noc to jest piękna, najpiękniejsza w mojém życiu! odpowiedział Maubray przyciskając do piersi ręce Marji, nareszcie osiągnęliśmy szczęście!

Nazajutrz był dzień świąteczny, i kapelan zaraz rano udał się do kościoła parafjalnego, dla słuchania ludzi spowiedzi; lecz przeciwko zwyczajowi swemu powrócił przede mszą do zamku.

Marja weszła właśnie do sali, gdzie zastała już doktora.

—Jak widzę znowu niepomyślna jakaś wiadomość, mój ojcze? rzekła widząc wchodzącego zakonnika, na którego twarzy malowała się pewna niespokojność.

On zatrzymał się przez chwilę na progu, aby się przekonać, czy nikt go słyszéć nie będzie, potém skinął na Palidę aby stanęła na straży i zbliżywszy się do Marji rzekł:

— Łaskawa pani dzisiaj jeszcze straszliwy zamach ma być wykonany... za dwie godziny, po mszy... Dzięki Opatrzności że ja powziąłem o tém wiadomość. Chcą zamordować markiza...

—I któż ma spełnić to morderstwo? przerwała Marja bledniejąc.

— Krewny kapitana Baillardet obrazi pana Maubray przy wyjściu z kościoła, gdzie spodziewają się go widziéć w orszaku pani. Nie dadzą mu czasu do wydobycia szpady, gdyż chcą rzucić się wszyscy na niego i zadać mu 20 razów puginałem.

— To hrabia tę zasadzkę ułożył, zawołała Marja, to on, wszakże prawda, mój oj-

cze? Ach, nie sądziłam żeby zdolny był do takiéj podłości.

— Tak jest, to on jest sprawcą, lecz nie sam tylko... Osadnicy sądzą iż w ten sposób sami sobie sprawiedliwość wymierzą. Nadzwyczaj są oburzeni przebaczeniem kary.. Pani stoisz nad przepaścią.

— Lecz Maubray jest człowiekiem z głową i sercem. On nas będzie bronił, on nas uratuje.

— Dla tego téż chcą go naprzód sprzątnąć! Zresztą, nie jest to pani tajném że markiz może tylko cóśkolwiek zrobić swą osobistą odwagą i poświęceniem się; okoliczności towarzyszące jego przybyciu zawsze mu będą na przeszkodzie do osiągnięcia przeważnego wpływu... Hrabia Loinvilliers wié to dobrze i tryumfuje...

— Cóż więc mam czynić? zapytała Marja przelękniona. Mój ojcze, ja sama nie mogę ostrzedz Maubraya o niebezpieczeństwie, które mu grozi; on by niém pogardzał.

— Łatwo można zapobiedz aby nie udał się dzisiaj do kościoła, odezwał się doktór, lecz to nie dosyć; będą szukać natenczas innéj sposobności.

— Otoczę Maubraya moją gwardją, a zresztą jest przecież sprawiedliwość; mogę tych zbrodniarzy kazać uwięzić i ukarać...

— Nie pani, tego pani uczynić nie możesz, o użyciu siły nie można nawet myśléć; przez to utraciłabyś pani wszystko, nawet może życie, i nie uratowałabyś pana Maubray. Odkryto mi cały spisek; nawet domownicy pani należą do niego; wszystko jest w milczeniu i mądrze ułożone, i tylko za szczególniejszą łaską Opatrzności potrafiłem powziąść wiadomość o tym zamachu... Jeden z hiszpanów wyznał mi go na spowiedzi, i aby panią przekonać o wielkości niebezpieczeństwa, dodam tylko jedno słowo: hrabia jest duszą spisku, on wszystkiém kieruje. Pani znasz go i wiész to dobrze, czy on lubi odwlekać swoję zemstę.

Kiedy zakonnik to mówił, Marja chodziła po pokoju z założonemi rękoma i z posępném wejrzeniem; niekiedy tylko zatrzymywała się przed oknem i spoglądała na morze.

— Maubray musi być uratowany, rzekła, a do tego jeden tylko jest środek. Okręt St. Malo rozwija żagle jutro rano...

— Czy pani chcesz odjechać? do Francji powrócić? przerwał zakonnik.

— Nie, ja nie chcę, mój ojcze, odpowiedziała Marja, lecz Maubray. Powierzę mu mojego syna; ty sam, mój ojcze, będziesz mu towarzyszył i wręczysz moję prośbę królowi. Ja pozostanę tutaj, nie lękając się ani hrabiego, ani żadnego z moich nieprzyjaciół. Spodziewam się że dobroć króla raczy zmienić moje okropne położenie.

— Ja nie rozumiem pani, rzekł zakonnik nadzwyczaj zdziwiony.

—Depesze które wam oddam wyjaśnią wszystko, odpowiedziała spokojnie teraz mój ojcze

udaj się do kościoła, będę tam i ja za godzinę.

Kiedy duchowny oddalił się, Marja przybliżyła się do doktora.

— Doktorze, rzekła, nie będę żegnać się z markizem.

To mówiąc zalała się łzami, bo nie mogła już dłużéj panować nad sobą.

— Nie, mówiła daléj, nie będę go już widziała; to mogłoby sprawić śmierć moję. Nie potrafiłabym go łudzić; odgadłby prawdę i chciałby pozostać.... Nie, nie, on musi odjeżdżać! Tu chodzi o jego życie. Lecz jakże daleko byłam zaślepioną iż mogłam przypuścić że Loinvilliers mścić się nie będzie... Ach, onby pewno zabił Henryka..... Gdybym sama była, nie lękałabym się niczego. Czyliż nie walczyłam przeciwko wpływowi jego, przeciwko jego dumie, jego miłości? Nareszcie przyszedł dzień mojego wybawienia... Teraz przedewszystkiém o Henryku myśléć należy..... Idź pan natychmiast do niego, i powiédz mu aby

udał się na okręt St. Malo i oczekiwał na list ode mnie. Powiédz pan mu że miałam już skryte zamiary od czasu jego przybycia, iż że mu je na pismie odkryję. Powiédz mu że wielkiéj ofiary żądam od jego miłości, powiédz mu że moje życie, nasze szczęście od tego zależy. On będzie wierzył i odjedzie... Poszlę rozkazy kapitanowi... Lecz, doktorze, nie opuszczaj Henryka, staraj się aby nie powrócił na ląd ... Idź, idź, mój stary przyjacielu, spuszczam się zupełnie na ciebie.

Tymczasem dały się słyszéć głosy w piérwszéj sali; dwór pani Enambuc zgromadził się aby jéj towarzyszyć do kościoła.

— Będę pani posłuszny, rzekł doktór, możesz pani być spokojną, zrozumiałem wszystko.

Wkrótce potém pani Enambuc wsiadła do lektyki aby się udać do kościoła. Trzymała syna swego na kolanach; cały dwór jéj to-

warzyszył, a kompańja gwardji szła przed lektyką. Taka okazałość w zwyczaju tylko była podczas wielkich uroczystości, i z niemałém zadziwieniem ujrzano panią Enambuc w pośród tak wielkiego orszaku, jakim się otoczyła.

Kościół był już napełniony; mała tylko przestrzeń zostawiona była dla osób znakomitych; niewolnicy zaś znajdowali się zewnątrz i słuchali nabożeństwa z daleka, jak niegdyś w Europie ludzie, na których klątwa ciężyła.

Marja spostrzegła wchodząc hrabiego Loinvilliers w liczném towarzystwie; był jeszcze słaby, lecz jego oko czarne, pełne ognia, zachowało jescze wyraz nieugiętéj dumy. W chwili kiedy Marja okazała się, wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią, i najgłębsze milczenie panowało w całym domu Bożym. Loinvilliers szukał szybkiém spojrzeniem Maubraya.

— Na Boga, mruknął ściskając za rękę Ricia, nie widzę go; on nie przyszedł.

Marja przeszła wolnym krokiem przez kościół i uklękła z swoim synem w przyrządzonéj dla niéj ławce. Kapłan otrzymał już stosowne polecenie; piérwéj nim zaczął mszą, stanął u stóp ołtarza, odwrócił się do zgromadzenia i rzekł głośno:

» Moi bracia, módlcie się ze mną do Boga, aby zlał swoje błogosławieństwo na to dziécię i jego matkę. Dzisiaj rozłącza się pani z swoim synem, i on odesłany zostanie do Francji, gdzie będzie wychowany, stosownie do woli jego zmarłego ojca, a dawnego pana téj wyspy. Módlmy się, moi bracia, ażeby Bóg raczył się opiekować wdową i dziedzicem jenerała Enambuc.”

Te słowa wielkie wrażenie zrobiły na przytomnych, i wszystkich spojrzenia zwróciły się z zadziwieniem na Marją; ona powstała.

— Tak jest, rzekła, mój syn żegna się dzisiaj z wami, i powróci dopiéro po wielu latach, kiedy zostanie już mężczyzną. Natenczas nie przyniesie on zakału krwi,

z któréj pochodzi, i będzie pamiętny na przykład jaki mu pozostawił jego ojciec; teraz oddaję go w pewne ręce; szanowny zakonnik z Tertre i markiz Maubray będą mu towarzyszyć do Francji.

To niespodziéwane oświadczenie wprawiło gromadę obok hrabiego Loinvilliers stojącą w wielkie zamięszanie; wszystkie te ponure i baczne twarze zwróciły się na niego. Lecz on uśmiechnął się spokojnie , i ukląkł aby słuchać rozpoczynającego się nabożeństwa. Marja klęczała przed ołtarzem i modliła się płacząc; przyciskała drżącemi i zimnemi rękoma swego syna do łona i rzekła z cicha do niego, dla ulżenia sercu swojemu.

— Moje drogie dziécię, ja zostanę tutaj, sama, bez żadnéj pociechy... Jutro napróżno będziesz mnie szukał i wołał; lecz ten człowiek, któremu cię powierzam, będzie cię także kochał... Jeżeli ci grozić będzie niebezpieczeństwo, będzie cię bronił, będzie się opiekował tobą, i wkrótce przybędziesz do pięknego kraju, który ja tak kocham, za któ-

rym tak tęsknię. Natenczas moje biédne, niewinne dziécię módl się do Boga, ażeby twoja matka wkrótce za tobą tam pośpieszyła..

Po ukończeniu nabożeństwa, kiedy Marja z swym synem na ręku wychodziła z kościoła, kobiéty cisnęły się i płakały, widząc tego ładnego chłopca, który uśmiechał się do nich, jakby jaki mały książe. Wiadomość o odjeździe Maubraya uspokoiła nagle umysły, i pani Enambuc powracając do zamku doznała dowodów współuczucia, jakichby przed godziną piérwéj dla niéj nie okazywano.

Nieszczęśliwa kobiéta dopełniła swéj ofiary z odwagą. Powróciwszy do zamku napisała do Maubraya; lecz jéj list zawiérał tylko następujące wyrazy.

» Musiemy się rozłączyć, Henryku. Musisz uledz temu okropnemu przeznaczeniu, gdyż od tego zależy moje bezpieczeństwo, a nawet może i moje życie; zakonnik z Tertre wyjaśni ci wszystko... W imie nieba i na-

széj miłości zaklinam cię, odjeżdżaj. Twoja żona błaga cię o to na kolanach. Powierzam ci to, co mam najdroższego na świecie, mojego syna... Święty obowiązek zatrzymuje mię tutaj i dlatego nie mogę ci towarzyszyć. Winnam zdać sprawę z mojego postępowania królowi i dziedzicowi jenerała Enambuc, — muszę zostać; lecz spodziewam się i oczekuję téj chwili, kiedy będę mogła uwolnić się od téj okropnéj odpowiedzialności. Kapelan wręczy moję prośbę królowi. Henryku! pośpieszę wkrótce za tobą; przyrzekam ci to w obliczu Boga.”

St. Malo stał na kotwicy w niewielkiéj odległości od brzegu, pod oknami zamku; łodzie krążyły ciągle tam i napowrót, a Maubray od dwóch godzin był już na pokładzie, kiedy odebrał list od pani Enambuc.

Doktór Janson opowiedział mu już był wkrótkości wszystko co się stało, i kiedy kapłan przybył, znalazł go w największéj rozpaczy pogrążonego. Zakonnik znał naturę ludzkich cierpień, posiadał sztukę ich złagodzenia,

i potrafił natchnąć odwagę w pana Maubray, aby uległ potrzebie rozłączenia się z swą małżonką. Marja siedziała przez cały ten dzień i noc następną przy oknie, z oczami wlepionemi w ten okręt, który miał unieść to wszystko, co posiadała najdroższego w świecie. Wkrótce przed świtem okazał się kapłan z licznym orszakiem aby zabrać młodego Enambuc. Śpiące dziécię spoczywało na kolanach nieszczęśliwéj matki; ona ucałowała je w milczeniu, oddała zakonnikowi, i rzekła z posępną spokojnością, która jest oznaką najgwałtowniejszego cierpienia:

— Módl się za mnie, mój ojcze, i powiédz Henrykowi, że się wkrótce zobaczemy.

Przez kilka godzin jeszcze klęczała Marja przy oknie, nieruchoma, z oczami zwróconemi na morze. Jéj oko śledziło okręt, który co chwila stawał się niewyraźniéjszy, i wkrótce znikł zupełnie w tym mglistym szlaku, gdzie niebieskie fale zlewają się z pogodnym błękitem niebios. Kiedy już nic więcéj nie widziała, jak tylko niezmierną

i próżną przestrzeń, wyciągnęła ręce i rzekła ze smutném przeczuciem:

— Czy ja ich ujrzę jeszcze mój Boże?! Potém podniosła się śpiesznie i rzekła po cichu, oglądając się naokoło z przelęknieniem teraz jestem już sama!

VII.

Od czasu wyjazdu Maubraya, hrabia częściéj zaczął odwiédzać zamek St Pierre; nie odzyskał jednak odjętéj mu władzy, którą przez tak długi czas wykonywał, i urząd jego został nieobsadzony. Z obawą i ponurą niecierpliwością widział on opór, jaki

stawiała mu pani Enambuc. Jednakże nie tracił nadziei; liczył na czas, na swą wytrwałość, a szczególniéj na samotność w jakiéj Marja żyła, i nie mógł pojąć, jąka ją nadzieja utrzymywała. Pewnego poranku, na początku zimy, albo raczéj pory dészczowéj, w jedénaście miesięcy prawie po odjeździe Maubraya, udała się pani Enambuc w towarzystwie doktora na taras zamkowy, dla używania przechadzki. Palida niosła obszerny parasol i wachlarz swéj pana, a kilka niewolnic szło za niemi w oddaleniu.

— Ach, mój stary przyjacielu! rzekła pani Enambuc tonem ufności i nadziei, każdéj chwili spodziewam się okrętu z Francji, już jedénaście miesięcy jak Maubray odjechał.

Kiedy to mówiła bladość okrywała jéj lica, lecz niezwykły ogień błyszczał w jéj oczach; doktór wziął ją za rękę i zaczął liczyć puls z uwagą, a Marja uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę ku morzu i rzekła:

— Tam oczekuje mię Maubray, — wkrótce pośpieszę do niego; i ty doktorze będziesz mi towarzyszył.

W téj chwili otworzyły się drzwi w bocznym murze: wyszedł z nich czarny niewolnik, i zbliżywszy się w pokorze do pani Enambuc rzekł:

— Straż stojąca w przystani dała hasło, iż widzi okręt, okręt królewski.

— Okręt z Francji zawołała Marja wznosząc ręce ku niebu, dzięki ci, Boże!

W kilka chwil późniéj pani Enambuc udała się na brzeg morza w lektyce. Skoro przybyła do przystani, wlepiła wzrok swój w maszty okrętu zaledwie widzialne w oddaleniu. Ach! rzekła półgłosem z nadzieją i ufnością w sercu, nadeszła przecie chwila mego wybawienia!

Wkrótce także nadszedł i Loinvilliers; Marja ze zbytku radości nawet do niego rzekła kilka słów uprzejmych, z czego on jak najpomyślniejszych wniosków dla siebie wyprowadzać nieomieszkał. Z dumą i pełen nadziei

chodził około małéj królowéj, i kiedy do zamku ją odprowadził, każdy już sądził że znowu będzie mianowany na swój dawny urząd. Nim jednak wszedł do pokoi zamkowych, kazał zawołać do siebie Ricia, i rzekł do niego po cichu: — Miéj moję łódź w pogotowiu. Skoro okręt zarzuci kotwicę, udam się na pokład. Muszę być tutaj panem; teraz już mam ją.

Tego samego wieczora jeszcze okręt wojenny Amphitrite zarzucił kotwicę w przystani St. Pierre. Zakonnik z Tertre i pan Vauderoque Enambuc, brat zmarłego jenerała, znajdowali się na pokładzie.

Na drugi dzień, około południa, zebrało się na żądanie pani Enambuc zgromadzenie w zamku St. Pierre. Znakomici osadnicy, duchowni, wszyscy oficerowie, wszyscy urzędnicy napełnili salę audjencjonalną. Nie wiedziano jeszcze, jaką wiadomość miała udzielić zgromadzeniu pani Enambuc; sam nawet Loinvilliers niczego się nie domyślał. O saméj dwunastéj weszła pani Enambuc ze

swoim szwagrem panem Vauderoque Enambuc; kapelan szedł obok nich i niósł pargamin, przy którym wisiała pieczęć królewska. Ze wszystkich stron zawołano: » Niech żyje pani.

Marja skłoniła się z widocznem wzruszeniem; jéj piękna, blada twarz zapłoniła się lekkim rumieńcem. Skoro ucichł okrzyk radości, Marja wzięła z rąk kapłana pargamin z królewską pieczęcią i rzekła ze wzruszeniem, lecz donośnym i zrozumiałym głosem:

— Moi panowie, uczucia jakie względem mnie objawiacie, przejmują moje serce wdzięcznością i nigdy o nich nie zapomnę. Zwołałam was panowie, ażeby się z wami pożegnać. Król i pan nasz raczył przychylić się do prośby mojéj i rządy téj wyspy komu innemu powierzyć. Brat tego, którego wszyscy opłakujemy, i którego pamięć zawsze jest tutaj szanowaną, pan Vauderoque Enambuc, w zastępstwie mojego syna i w imieniu króla Francji zarządzać będzie tą kolonją.

Moi panowie, przedstawiam wam nowego gubernatora.

To mówiąc spojrzała na pana Vauderoque, który powstał i pozdrowił zgromadzenie. Wszystkich ogarnęło nadzwyczajne zdumienie; nikt nie domyślał się takiego rozwiązania, i wszystkich spojrzenia zwróciły się na pana Loinvilliers, którego przed chwilą jako przyszłego męża pani Enambuc uważano. On stał nieruchomy i na pozór spokojny; lecz ręka pochwyciła za sztylet, gdyż jego pierwsza myśl była aby Marję zabić natychmiast; zastanowił się jednak wkrótce, że jeszcze kilka dni będzie zwłoki, i że przez ten czas będzie mógł jeszcze zostać panem téj kobiéty, która od tak dawna była jedynym celem jego życia. Ukrył swoje wzburzenie i namiętność i słuchał spokojnie długiéj mowy pana Vauderoque.

Kiedy wszyscy już weszli, przystąpił do pani Enambuc z pałającym wzrokiem i rzekł:
— Pani odjeżdżasz! Chcesz znowu pośpieszyć w objęcia tego człowieka, lecz na moje

duszę! na moje wieczne zbawienie! pani go już nie ujrzysz więcéj!

Okręt Amphitrite po kilko-dniowym pobycie przy Martynice miał popłynąć do St. Domingo, i czas powrotu jego do Francji dosyć był jeszcze odległym. Marja nie chciała czekać; postanowiła odpłynąć na statku z Bordeaux, który swój ładunek w Gwadalupie miał uzupełnić. Napróżno usiłowano odwieźć ją od tego zamiaru, aby puszczała się w tak daleką i uciążliwą podróż na kupieckim statku źle zbudowanym; ona nie słuchała niczego, jak tylko swéj niecierpliwości, któréj nie mogła już powściągnąć.

W kilka dni późniéj zgromadziła się wielka liczba mieszkańców nad brzegiem. Łodzie ciągle krążyły około okrętu Amphitrite, który miał przyjąć na swój pokład panią Enambuc i jéj orszak, i odwieść do Gwadalupy, gdzie oczekiwał statek Ś. Mikołaj do Bordeaux wracający. Marja po wysłuchaniu mszy w kaplicy, udała się na brzeg w towarzystwie tych ludzi, którzy mieli udać się z nią do

Francji. Powitał ją długi, radośny okrzyk, i tłum cisnął się do niéj błogosławiąc ją i życząc szczęścia w podróży. Nadzwyczaj była bladą i tak osłbioną że się musiała wesprzéć na ręku doktora. Nowy gubernator odprowadził ją na sam brzeg morza; skoro wstąpiła na łódź, która miała ją odwieść na pokład, pożegnała wszystkich ręką. Natenczas wszyscy wyciągnęli ręce do góry i rozległ się okrzyk: «niech żyje nasza pani!

—Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi! rzekła rzuciwszy przeciągłe spojrzenie na kraj, którym rządziła, i w którym tyle cierpiała; bywajcie zdrowi! I we Francji nie zapomnę o téj wyspie!

Hrabia Loinvilliers nie pożegnał się z panią Enambuc; stał samotnie za murami i widział jak ona opuszczała na zawsze Martynikę. Skoro łódź dopłynęła do okrętu i Marja wstąpiła na pokład, zawołał Ricia.

—Czy wszystko gotowe? zapytał; ja także odjeżdżam. Ach, Juanie de Mata, ty straszliwy korsarzu, co za zdobycz! daléj! do moich przyjaciół, do korsarzy! Oni mi ją powrócą!

VIII.

Na oceanie rozdzielającym świat stary od nowego znajdują się niewidzialne drogi, które żeglarz rozpoznać potrafi i trzyma się ich w podróży. Juan di Mata, kapitan statku Sant Jago, wiedział dobrze pod jaką szerokością oczekiwać powinien na statek

kupiecki z Bordeaux, i w miesiąc prawie po odjeździe Marji krążył przy Bermudas. Statek korsarski był o 50 działach, a osada jego składała się z ludzi ze wszystkich części świata; najwięcéj jednak było hiszpanów. Podczas czternastodniowéj podróży widzieli dwa czy trzy okręta, na które Juan miał ochotę uderzyć, lecz Loinvilliers przymusił go aby oczekiwał.

Powietrze było spokojne; gnuśny, często zmieniający się wiatr zaledwie poruszał rozległą powierzchnię wód, a statek korsarski podobny był do białego punktu na niebieskawym aksamicie. Loinvilliers nie oddalił się z pokładu i ciągle bacznie śledził po widokręgu, czy się nie pokazuje jaki żagiel; oczekiwał z niecierpliwością aby przychylny wiatr podał mu w ręce zdobycz jego. Nakoniec straż zawołała » okręt!" i wkrótce ujrzano wyraźnie statek, który po ciężkich linach poznano iż był St. Nicolaus z Bordeaux. Osada radość swoję objawiła przez okropne przekleństwa i krzyki; przygotowano się do

walki, jakby do jakiéj uroczystości, gdyż nie spodziewano się żadnego oporu. — Hrabia Loinvilliers wziął korsarza na stronę:

— Nasza ugoda trwa ciągle, rzekł, dla ciebie i dla twoich ludzi ładunek, a dla mnie pani Enambuc. Wysadzisz mi ją do którego portu w południowéj Ameryce, bo tak się zobowiązałeś Juanie de Mata.

— Tak jest, takie było moje zobowiązanie, i ja je wypełnię, odpowiedział korsarz.

— A więc jest moją, zawołał Loinvilliers, piekło i niebo wydrzéć mi ją nie potrafi.

St. Nicolaus postrzegł także z swéj strony galjotę, która go ścigać zaczęła, i starał się ratować ucieczką. Lecz słaby wiatr zachodni uspokoił się zupełnie; ciężki statek kupiecki został prawie zupełnie nieruchomy, a tymczasem korsarze coraz bardziéj się zbliżali na swym lekkim i dobrze płynącym statku. Kiedy już byli tylko na strzał pistoletowy od St. Nicolaus, z wielkim krzykiem rzucili się do haków.

» Zarzucać haki! zawołał Juan de Mata.

Wkrótce galjota zaczepiła się o przewozowy statek St. Nicolaus, i korsarze wpadli na pokład jego, ze sztyletem w zębach, toporem w jednéj, a pistoletem w drugiéj ręce. Przez chwilę panowało zamięszanie, lecz nie było walki, gdyż statek kupiecki' był zupełnie bezbronny. Kiedy korsarze pochwycili kapitana i jego ludzi, Loinvilliers spuścił się na międzypokład. Wszedłszy do kajuty, znalazł tam doktora Janson.

— Panie, rzekł do niego, wszelki opór jest nadaremny; jesteśmy panami statku. Gdzie jest pani Enambuc?

Doktór otworzył drzwi bocznéj kajuty i odpowiedział tylko »tam jest!.”

Otwarte drzwiczki oświécały dokładnie wązką przestrzeń; Palida siedziała w kącie na podłodze, z twarzą zakrytą rękami. W środku kajuty stała wązka skrzynia przykryta czarném suknem.

— Nie żyje! krzyknął Loinvilliers jakby piorunem rażony, ona nie żyje!

— Nie mogłem jéj uratować; zawiele cierpiała, odpowiedział doktór.

— Panie, przerwał Loinvilliers, odsłoń pan całun; ja chcę ją widzieć.

— To jest bezbożność! zawołał doktór z przerażeniem; na imie Boga! zaklinam pana, zostaw jéj zwłoki w pokoju.

— Ja chcę ją widzieć! powtórzył Loinvilliers groźnie.

Natenczas doktór drżącą ręką odsłonił całun i odkrył trumnę. Jego sztuka potrafiła zachować smutne resztki; leżała jakby we śnie, głowa zakryta długiemi włosami, a ręce złożone na krucyfiksie. Hrabia Loinvilliers ukląkł; dwie łzy, piérwsze, które wylał w swojém życiu, stoczyły się po jego licach, i zawołał w okropnéj rozpaczy: Marja! Marja nie żyje!

— Ona przebaczyła panu w ostatnich chwilach, rzekł doktór, modliła się za pana, który przez swą zgubną namiętność stałeś się przyczyną jéj cierpień i nieszczęścia. Lecz teraz pozwól pan abym spełnił jéj ostatnią wolą; pozwól abym jéj zwłoki odwiózł do Francji i oddał je jéj mężowi, markizowi Maubray.

— Jéj mężowi? krzyknął hrabia, ona była jego żoną?

— Wzięła z nim ślub tajemnie w Martynice.

Loinvilliers nakazał mu milczenie gwałtownym gestem; potém uspokoił się napozór i zawołał do siebie korsarza. Juan de Mata stanął zadziwiony, skoro ujrzał zmarłą kobiétę w otwartéj trumnie, przy któréj klęczał doktór i Palida.

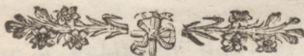
— Czy to jest pani Enambuc? zapytał przeżegnawszy się; jak mi Bóg miły! nie spodziewałeś się ją tak zostać, panie hrabio! Cóż pan teraz myślisz zrobić?

— Pochować ją, odpowiedział Loinvilliers.

W kwadrans późniéj cała osada statku kupieckiego i wszyscy korsarze stali na pokładzie z odkrytą głową; kapłan z książką do nabożeństwa w ręku czytał modlitwę za umarłych przed trumną, do któréj przywiązano dwie kule armatnie. Hrabia klęczał z daleka i odmawiał ponurym głosem de profundis. Potém dwóch ludzi wzięło trumnę i zrzucili ją z pokładu.

Głęboka tonia rozwarła się z głuchym szumem i zatoczyły się obszerne koła po wodzie, potém przepaść zamknęła się znowu, i wszystko znikło. Pani Enambuc ukrytą została na zawsze w łonie morza. Natenczas hrabia powstał i rzekł zcicha do siebie:

— On nie będzie ją widział ani za życia, ani po śmierci!...



WOŹNICA

DZIEDZICZKI.

Panna Emilja de Linval utraciła nie dawno ojca, który prawie na jéj ręku skończył życie, uderzony gwałtowną apopleksją; matka jéj nie żyła już od lat kilku; pozostała więc sama na świecie, wprawdzie w posiadaniu nieźmiernego majątku, lecz bez wsparcia

i opieki. Gdyby śmierć pana Linval nastąpiła w kilka dni późniéj, położenie jéj nie byłoby tak wątpliwe, gdyżby zaślubiła tego, którego kochała, to jest pana Alfonsa d' Armant, młodego człowieka namiętnie do niéj przywiązanego. Boleść z utraty ojca połączyła się z uczuciem miłości podległéj na nowo wątpliwym wypadkom losu i z takiemi obowiązkami, że panna de Linval bez względu na świéżą jeszcze żałobę i wszelkie przepisy przyzwoitości, dla rozmówienia się z panem Alfonsem d' Armant wezwała go do siebie.

Siedząc w gabinecie dawniéj do jéj ojca należącym, którego okna wychodziły na podwórze domu, oczekiwała z obawą właściwą młodéj pannie, mającéj mówić piérwszy raz w życiu swojém w ważnym przedmiocie, i któréj przyszłość zależyć ma od zamierzonéj rozmowy. Czarny strój podwyższał białość jéj cery, jéj mała, delikatna rączka ściskała

z niecierpliwości chustkę chaftowaną, a oczy jéj żywe, chociaż zwilżone łzami, zwracały się często ku zégarowi, którego skazówka za wolno zdawała jéj się poruszać. Nareszcie wybiła piąta godzina i oznajmiono przybycie pana d' Armant, który nie śmiał uprzedzić godziny wyznaczonéj przez samą Emilję.

— Panie d' Armant, rzekła do niego, pan de Linval kochał pana bardzo i uważał jak swojego syna, odebrałeś pan także wyznanie uczuć moich; z łatwością jednak pojmiesz iż w obecnéj chwili nie wezwałam pana w tym celu aby słuchać jego oświadczeń; chcę spełnić obowiązek, z którego mój ojciec wywiązałby się, gdyby żył jeszcze, chcę odkryć panu tajemnicę, którą pan wiedzieć powinieneś; skoro panu wszystko wyjawię, będziesz pan miał wolny wybór i możesz odwołać swoje przyrzeczenie połączenia się ze mną związkami małżeńskiemi.

— Pani, zawołał młodzieniec zdziwiony uroczystością tego wstępu, chciéj wierzyć...

— Pozwól pan, przerwała Emilja, jesteś pan szlachcicem i nie chcę wchodzić w to, czy słusznie albo nie słusznie, wysoko cenisz swoje urodzenie i uważasz je jako znakomity przymiot; zaślubiając córkę pana de Linval sądziłeś iż nie uwłaczasz swojemu stanowi; chcę pana wyprowadzić z błędu, — pan de Linval nie był moim ojcem.

— Pani!

— Posłuchaj mnie pan. Interes raczéj, niżeli wzajemne przywiązanie spowodował związek małżeński pana de Linval, który jednakże ciągle żył dobrze z swoją żoną; to tylko jedyne było życzenie dwojga małżonków, aby mieli dzieci, co się jednak nie spełniło. Pewnego dnia nieznajoma ręka złożyła u odźwiernego domu pudło z prośbą, aby oddano je natychmiast pani de Linval. Pudło to zawiérało małą dziewczynkę dwa dni życia liczącą, to jest tę, którą pan kochasz.

— Panią?

— Tak jest, panie. Przyjęta zostałam przez panią de Linval jako dar nieba; kazała spro-

wadzić mamkę i nazwała mię Emilją, to było jedno z jéj imion. Pan de Linval pochwalił wszystko, i zostałam wychowaną jakby ich córka. Uczucia moje rozwinęły się, wkrótce i sądzę że niepodobna aby dziécię dla swoich prawdziwych rodziców miało więcéj miłości i uszanowania, ile ja dla dwojga tych osób, a szczególniéj dla pana de Linval. Opłakuję go téż jako mojego prawdziwego ojca. Kiedy pani de Linval umarła, miałam lat 15 i wkrótce potém pan de Linval przysposobił mię za córkę. Czyn ten otworzył mi oczy i przekonał dopiéro czém byłam, albo raczéj czém nie byłam. Lecz cóż mię to obchodzić miało? Pewna przywiązania pana de Linval, dziedziczka jego imienia i majątku, mogłam nie troszczyć się o nieznanych rodziców, których nie ujrzę nigdy, którzy nie żyją już może, a chociażby żyli, nie dowiedzą się wcale iż mają dziécię. Lecz tajemnicę tę należało odkryć panu; teraz panie...

— O Emiljo! zawołał uniesiony młodzieniec, dla czegóż mówisz mi o swojém urodzeniu.

To co mi objawiłaś, jużem wiedział. Twój ojciec zwierzył mi się z tą tajemnicą. Czyli uważałaś iż moje zabiegi mniéj były gorliwe? Moja miłość mniéj gwałtowną? Bądź szczerą, Emiljo, wyrządziłaś mi zniewagę; w głębi serca swego zwątpiłaś o mnie?

Wprzód nim Emilja odpowiedziéć mogła na te namiętne zapytania, otworzyły się drzwi gabinetu, wszedł człowiek prawie sześćdziesięcioletni, i stanąwszy w progu pokazał swoję twarz pijacką, siwe włosy, rude faworyty i dwoje małych, siwych oczów, pełnych złośliwości, które wlepił w Emilję z wyrazem śmiesznego rozczulenia. Był to Jerzy, stangret pana de Linval.

— Cóż to takiego, Jerzy? zapytała panna de Linval zdziwiona tém niespodziewaném ukazaniem się.

— Prawdziwie, panno, to jest że...

— I cóż więc?

— To jest że panna:... Zobaczmyno bliżéj.. Już od dwudziestu lat nie mogłem przypatrzyć się tak dobrze, jak dzisiaj.

— Czyś szalony, mój Jerzy? Powróć do stajni, miéj staranie o koniach.

Zniecierpliwiona bardziéj dodała:

— No i cóż więc chcesz? Mów!

— Oh! już dłużéj nie wytrzymam... Powiem... Ja byłem za drzwiami, słyszałem wszystko.

— Jesteś dawniejszy w tym domu, jak ja, i to co powiedziałam panu d' Armant nie było tajemnicą dla ciebie.

— Tylko że panna nie wié wszystkiego.

— Jak to?

— Tak jest; już dwadzieścia lat, mówił daléj przerywanym głosem, pudełko złożone u odźwiernego, to dziécię.... A więc! to dziécię, ta biédna, malutka.... to było moje... Ach panno przebacz prawdziwie, jesteś moją córką, jak jeden Bóg na niebie.

Po tém wyznaniu przerywaném przez głośne, łkanie, stangret Jerzy rzucił się ku Emilji i nie mając śmiałości w twarz ją pocałować ściskał jéj białą, delikatną rączkę w swych grubych dłoniach.

— Byłem tak nieszczęśliwy, mówił daléj wylewając łzy, moje konie wtedy miały lepszą wygodę ode mnie. A do tego mój pan tak był dobry, tak pragnął miéć dzieci!... O moja biédna córeczko, moja biédna Emiljo, gdybyś wiedziała jak ja się martwiłem, kiedyś miała ospę, a koklusz!... koni moich nie poiłem... Lecz nie trza się gniewac za to, m›je dziécię, to dla tego żebyś była bogatą: Pan Bóg pomógł i bogactwo przyszło. I niech żyje radość! mogę powiedziéć teraz. Ale ale! ty panie Alfonsie, dodał zwracając się do osłupiałego młodzieńca, ty kochasz naszą córkę, ja to wiem... No, no, nie ma w tém nic złego, mój kawalerze, ja nie jestem złym człowiekiem. Zobaczemy,da się to ułożyć,wszak prawda, Emiljo? Ino nie trza zapominać o ojcu; to sprowadza szczęście, kiedy dzieci szanują rodziców. Lecz cóż to mi potrzeba? Ech mój Boże! nie wielkie rzeczy; surdut na własność, kilka talarków w kieszeń, tytoniu i wina do syta, i wszystko. Potém, będziecie się kochać, ile będziecie chcieli,

pobierzecie się, kiedy się wam będzie podobało, a ja położę krzyż na kontrakcie... Tylko jeżeli mi wierzycie, za stangreta weźcie Batpystę,chłopca stajennego, to dobry dzieciak nie wielki złodziéj, a powozi tęgo!

Emilja pognębiona była wstydem i boleścią; śmiałość tego człowieka, jego gruba mowa, zuchwałość z jaką dopominał się o swój udział w majątku i znaczeniu, obecność tego, którego kochała, wszystko zgoła powiększało jéj gniew i pomięszanie. Ona nie doznawała bynajmniéj uczuć dziecięcych, nie słyszała głosu natury odzywającego się, jak mówią, w dziécięciu, które nagle znajdzie się w obecności ojca. Spuściła oczy, cofnęła rękę, którą ciągle trzymał stangret Jerzy, a usta jéj napróżno siliły się, aby odpowiedzićć chociaż jedno słowo na to dziwne oświadczenie.

Pan Alfons uczuł jéj kłopot i przyszedł na pomoc.

— Idź, Jerzy, rzekł do niego; to coś powiedział jest rzeczą zbyt wielkiéj wagi, aby

panna de Linval mogła wziąść postanowienie w tym względzie, nie rozważywszy piérwéj. Oddal się,—wkrótce będziesz zawołany.

— Ach! panie Alfonsie wierz mi że nigdy panna... nigdy Emilja żałować nie będzie iż.. Jestem zbyt uszczęśliwiony...

— To dobrze, to dobrze; zostaw nas na chwilę.

Jerzy wyszedł rzuciwszy na pannę de Linval spojrzenie, w którém malowała się zarazem duma rodzicielska i uszanowanie źle ukryte.

— A więc! panie Alfonsie, zawołała Emilja skoro stangret oddalił się, nie jestem już dziécięciem opuszczoném, o które nikt upomnić się nie może; mam ojca, którego prawa dawniejsze są od praw pana de Linval, jestem córką Jerzego. Ten szlachetny człowiek, który wziął mię pod swoją opiekę, który miał staranie o mojéj młodości, naprózno nadał mi swoje nazwisko i pozostawił majątek, jest człowiek, którego prawa są bardziéj święte i nienaruszone' i tym człowiekiem jest mój stangret, Jerzy!

Pan Alfons kochał namiętnie Emilję, lecz był szlachcicem i jak powiedzieliśmy, wysoko cenił swoje urodzenie. Zaślubić córkę przybraną pana de Linval, któ·éj urodzenie pokrywała głęboka tajemnica, było niczém; lecz nadać swoje nazwisko córce stangreta, miéć za teścia człowieka, który od 30 lat co rano obmywał karetę i poił konie! to raniło wszelkie jego wyobrażenia, i jakkolwiek miłość jego była gwałtowną, potrzebował swój umysł do tego przyzwyczaić. Powstał i nieodpowiedziawszy Emilji przybliżył się do okna na pół otwartego; Jerzy był na podwórzu, otoczony służącymi domu.

— Pójdźcieno tu chłopcy, rzekł głosem rozkazującym; ty ojcze Bidault musisz nie tak często do szynku zaglądać, jeżeli chcesz zostać odźwiernym; a ty mości marszałku przypomnisz sobie że Jerzy lubi cénadry na winie szampańskiém... hola, héj! panno Marjanno, nie trza przechodzić tak chyżo; moje ładne dziéwczę, spodziewam się że nie będziemy udawali już niewiniątka i ponieważ

będzie inny stangret, pójdziemy wieczorem oboje na checę... Ty, Baptyście, przybliż się, zdaję na ciebie moje konie: lecz ostrożność w używaniu bicza, i siana nie dawać wiązkami. Odtąd ja będę wydawał obrok.

Jerzy mówił tak głośno że nie tylko Alfons mógł go słyszéć, lecz nawet Emilja, która siedziała przed kantorkiem pana de Linval; ona przerzucała papiéry, na które dotychczas nie zwróciła jeszcze swéj uwagi.

—Ponieważ ten człowiek jest moim ojcem, rzekła, oddam mu połowę mojego majątku, i będę żyć zdaleka od niego, tam gdzie on nie będzie chciał mieszkać.

Nagle oczy jéj spotkały list do niéj adresowany; otworzyła go i przebiegłszy z szybkością oczyma zawołała:

— Panie Alfonsie, powiédz Jerzemu ażeby przyszedł, proszę cię.

Młodzieniec wykonał zlecenie.

— Widzicie, rzekł Jerzy do służących, którzy go ciągle otaczali, wołają mię, dowiécie się cóś nowego, skoro wrócę; poczekajcie na mnie.

— Posłuchajno Jerzy, rzekła młoda dziedziczka, skoro wszedł stangret, to jest list pana de Linval!

Ona czytała co następuje:

» Moja kochana córko!

» Ty, którą tak kocham, którą szczęśliwém dla mnie zrządzeniem losu zachować przy sobie dotychczas mogłem, trzeba nareszcie abym otworzył ci zupełnie serce moje, abyś się dowiedziała z jakich powodów tak drogą dla mnie jesteś. Panią de Linval zaślubiłem nie z miłości, i w kilka miesięcy po tém małżeństwie przywiązałem się do kobiéty będącéj jedyną moją namiętnością: ty jesteś owocem téj nieszczęśliwéj miłości: twoja matka umarła wydając cię na świat, a sposoby których użyłem aby wprowadzić cię do mojego domu i wychować pod okiem pani de Linval, dawno są już ci wiadome. Nikt nie wié o téj tajemnicy; jeden tylko człowiek może się domyślać, to jest mój stangret Jerzy, który wyśledził tę osobę, która złożyła u mojego odźwiernego drogie dla mnie

pudełko. Gdyby powiedział jedno słowo, gdyby moja żona domyślać się mogła czego kolwiek, znikłaby spokojność mego życia i twój los zostałby narażony; lecz on był wyrozumiały, a ja zatrzymałem go przy sobie, pomimo jego wad, i chociaż nie raz w podejrzeniu miałem jego wierność.

Zapytasz się mnie zapewne dla czego tak pózno odkrywam ci tę tajemnicę, i dla czego nie udzielam ci jéj ustnie, lecz na piśmie. Oto dla tego, że są błędy, których nie można wysłowić przed córką; nie mów więc ze mną nigdy o tém. Bądź zdrowa i kochaj mnie jeszcze bardziéj.

Twój ojciec Linval.

— No i cóż Jerzy? rzekła Emilja z oczami pałającemi gniewem.

— Prawdziwie panno, w położeniu, w jakiém panna jesteś, to było łakome... Gdyby nieboszczyk ojciec nie napisał, powiodłoby się.

— Nieszczęśliwy! zawołała, nadużywać mojéj niewiadomości, igrać z memi uczuciami i chcieć zastąpić w mojém sercu tego szano-

wnego człowieka, który cię żywił przez lat trzydzieści!—Wychodź, niechaj cię więcéj nie widzę!

Jerzy zmięszany nie pomyślał nawet o utrzymywaniu swego fałszu; wyjąknął słów kilka, przymknął swe maleńkié oczki, jabby nie mógł znieść blasku prawdy, policzki jego zaczerwieniły się, i chciał wyjsć z gabinetu; lecz Alfons zatrzymał go i przybliżył się do Emilji.

— Droga Emiljo, rzekł do niéj z większą może dwornością aniżeli prawdą, dla czegóż nie znalazłaś tego listu późniéj, jutro, za miesiąc; dla czegóż nie pozwoliłaś abym dowiódł że w tobie, kocham tylko ciebie samą' i że z równym zapałem dobijałbym się o twoję rękę, czy byłabyś córką stangreta, albo téż Montmorensych. Co do tego człowieka, on jest winien, lecz zbrodnicze jego zamiary dowodzą przynajmniéj, iż wiedział o tajemnicy i że słusznie pan de Linval chwali go za jego milczenie. Czyli nie przebaczysz temu człowiekowi, którego oszustwo znane jest tylko przez nas obojga?

Panna de Linval uśmiechnęła się i podała rękę młodzieńcowi.

— Jerzy, rzekł Alfons, będziesz nadal stangretem panny, czyli raczé pani Emilji d' Argremant; pani ci przebacza. Co do mnie, przyrzekam ci iż po piérwszym błędzie, który popełnisz, zostaniesz wypędzony. Do stajni Jerzy.

Skoro Jerzy pokazał się na podwórzu, służący przybiegli do niego.

— No i cóż Jerzy! cóż nam powiész?

Lecz Jerzy odpowiedział głosem pokornym woźnicy, który wywrócił na równéj drodze:

— Wszystko zostaje w dawnym porządku, moje dzieci; nie udało się, nie ma nic nowego.

SPIS RZECZY

W TOMIE XI. ZAWARTYCH.

Stron

Marja Enambuc 3
Woźnica Dziedziczki. . . . . . 200.



